Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 28. Listopada 1880 r. **Tom XI.**



Nr. 48.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

CZYJA WINA?

OBRAZEK DRAMATYCZNY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

OSOBY:

Jadwiga Karłowiecka.
Leon malarz.
Służący.

W mieszkaniu Jadwigi Karłowieckiej.

(Dokończenie.)

Jadwiga. Mąż mój, jak zwykle w Chantilly... mama umarła! Biedna mama! ona była bardzo panu przyjazna, bardzo pana kochała... *(Po chwili).* Ja, nakoniec, jak pan widzi: zestarzałam się i zmieniłam do nie poznania...

Leon. W wieku pani słowo: »zestarzałam się« jest tylko zuchwałem wyzwaniem rzuconem przez kobietę, która nie lęka się, by jej uwierzono.

Jadwiga. Mam dwadzieścia trzy lat, więc nie mówię o wieku, ale można zestarzeć się moralnie. Czuję, że dziś w niczem nie jestem podobna do owej Jadwigi z Kalinowic, którą pan... znał tak dobrze. Mój Boże! gdy dziś wspomnę to zaufanie i tę wiarę w życie, te złudzenia dziewczyny, która sobie i komuś pragnie być szczęściem, ten zapał do wszystkiego co dobre i szlachetne!... gdzie się to wszystko podziało, dokąd odeszło... I pomyśleć sobie, że byłam istotnie ot... polnym poczciwym kwiatkiem, a dziś...

Leon. A dziś... wielką damą...

Jadwiga. Dziś, gdy widzę taki sceptyczny uśmiech, jaki widziałam przed chwilą na twarzy pana, wydaje mi się, że bywam śmieszną... bywam nawet często, bo zawsze, skoro tylko siadam do idealnych krosienek i na kanwie przeszłości zapomnianej, minionej, wzgardzonej, zaczynam haftować kwiaty zwiędłe. To stara moda, z czasów, gdy jeszcze brano na serjo wierność i śpiewano pieśni o Filonie.

Leon. W tej chwili wpadasz pani w usposobienie najnowszej mody.

Jadwiga. Mamże płakać, czy może nawiązywać nić przerwaną? Trudno! czasy się zmieniają! Bądź pan pewny, że miewam swoje lepsze chwile, w których śmieję się serdecznie ze wszystkiego, *(podając papierosy).* Czy pan pali?

Leon. Nie, pani.

Jadwiga. Ja—tak. To także rozrywka. Czasem poluję *par force* z moim mężem, czytuję powieści Zoli; bywam, przyjmuję i co rano namyślam się jak zabić czas. Chwilami mi się to udaje: — chwilami nie! A propos: wszakże pan zna mego męża?

Leon. Znałem go dawniej.

Jadwiga. On bardzo lubi polowanie, ale tylko *par force.* My nigdy nie polujemy inaczej.

Leon. Bądźmy otwarci. Porzuć pani tę fałszywą nutę.

Jadwiga. Przeciwnie. W dzisiejszych czasach potrzebujemy wrażeń, które wstrząsają nerwy. Najnowsza muzyka jak i życie składa się z dysonansów. Nie chcę przez to powiedzieć, bym była z moim mężem nieszczęśliwa. Wprawdzie on ciągle bawi w Chantilly, więc go widuję raz na kwartał, ale to dowodzi z jego strony zaufania. Prawda, panie?

Leon. Nie wiem i nie pragnę rozstrzygać a przedewszystkiem nie powinienem o tem wiedzieć.

Jadwiga. Mnie się zaś zdawało, że pan powinieneś o tem wiedzieć. Proszę być pewnym, że z nikim innym nie mówiłabym tak otwarcie, ale myśmy tacy starzy znajomi. Zresztą nie narzekam. Otaczam się młodzieżą, która udaje, że się kocha we mnie. Nie ma w tem za grosz treści, kłamią aż uszy więdną, ale forma prześliczna, bo to wszystko ludzie dobrze wychowani. Bywa także u mnie hrabia Skórzewski, o którym pan musiał słyszeć. Polecam go panu, jako model na Adonisa. Cha! cha! nie poznałbyś pan »polnego kwiatka z Kalinowic«...

Leon. Tak jest: nie poznałbym.

Jadwiga. Ha! ale życie się toczy.

Leon. Na żarty...

Jadwiga. Z których nie zawsze się śmiać chce. Gdyby to nie był taki wiek sceptyczny, wydawałabym się sobie zdziczałą, romantyczną naturą, pragnącą zagłuszyć jakąś rozpacz. Ale czasy romantyczne minęły, więc na prawdę pragnę tylko zapełnić wielkie nic. Odwijam i ja mój kłębek, choć nie zawsze z pociechą. Czasem wydaję się sobie tak lichą, czczą i nędzną, że biegnę, ot tam, do klęcznika, który mam po matce, wypłaczę się, wymodlę a potem znowu śmieję się i z płaczu i z modlitwy. Tak w kółko! w kółko! Czy pan wie, że robią o mnie plotki?

Leon. Nie słucham ich.

Jadwiga. Jaki pan dobry!... Więc panu powiem dla czego robią plotki. Pewien misjonarz pytał murzyna, co wedle jego pojęcia jest złe? Murzyn zamyślił się i rzekł: »złe jest, jak mi kto żonę ukradnie.« A dobre? spytał ksiądz. — »Dobre — odpowiedział murzyn — to jak ja komu ukradnę.« Otóż przyjaciele mego męża, są zdania tego murzyna. Każdy z nich radby spełnić taki dobry postępek i ukraść komuś żonę...

Leon. To zależy od żony.

Jadwiga. Tak! każde jednak słowo i spojrzenie jest wędką. Gdy ryba haczyk ominie, miłość własna rybaka burzy się. Oto dlaczego robią o mnie plotki. *(Po chwili).* Wy wielcy ludzie, jesteście pełni

prostoty... Więc pan twierdzi, że to zależy od żon?

Leon. Tak jest.

Jadwiga. *Morbleu!* jak mówi mój mąż, — a jeśli żona się nudzi?

Leon. Żegnam panią!

Jadwiga. Dlaczego? Czy pana obraża to co mówię?

Leon. Więcej niż obraża, — boli... Może się to pani wydać dziś śmiesznem, ale tu, w piersi, noszę kwiaty — zwiędłe wprawdzie, umarłe oddawna; dla mnie jednak drogie — a pani depcesz po nich w tej chwili...

Jadwiga. *(Z wybuchem).* O! panie Leonie, gdyby te kwiaty nie umarły...

Leon. One leżą w mem sercu... a tam grób. Dajmy pokój przeszłości...

Jadwiga. Tak, masz pan słuszność; dajmy temu pokój. Co umarło: nie zmartwychwstanie. Chcę mówić spokojnie. Spojrzyj pan w moje położenie: co mnie broni, jakie ramię mnie wspiera, co osłania? Jestem młodą i podobno nie brzydką kobietą, więc nikt nie zbliża się do mnie z prostem, poczciwem sercem, ale z zasadzką w oczach i ustach. Co temu przeciwstawię — nudę? żal? pustkę? W życiu, nawet mężczyzna musi się czegoś trzymać, a ja, słaba kobieta, jestem jak łódka bez steru, bez wiosła i bez światła, do którego bym zmierzać mogła. A serce wyrywa się do szczęścia. Chciejcie wy zrozumieć, że kobieta musi być kochaną i musi kochać kogokolwiek w świecie, inaczej w braku prawdziwej miłości, chwyta za pierwszy lepszy jej pozór, za pierwszy lepszy cień...

Leon. *(Z gorączką).* Biedna...

Jadwiga. Nie uśmiechaj się pan szydersko, bądź lepszy, bądź mniej surowy dla mnie. Ja nawet nie mam się przed kim poskarżyć i... tak jest! dla tego nie odpędzam hrabiego Skórzewskiego. Brzydzę się jego pięknością, pogardzam przewrotnym rozumem, a nie odpędzam, bo gra jak biegły aktor, bo gdy się w grę jego zapatrzę, to budzą się we mnie echa dawnych wspomnień... *(Po chwili).* Czemże zapełnię życie?... Nauka? sztuka? choćbym je pokochała, to one mnie kochać nie będą, bo to nie żywe istoty... Nie! doprawdy nie! Nie wskazano mi żadnych obowiązków, żadnych celów, żadnych podstaw. Wszystko czem żyją inne kobiety, co stanowi ich świat, szczęście, troskę serdeczną, siłę, łzy i uśmiechy, zamknięte dla mnie. Moralnie nie mam z czego żyć, jak żebraczka, nie mam dla kogo, jak sierota. Nie wolno mi nawet tęsknić za życiem zacnem i cichem, wolno mi tylko karmić się żalem, a bronić okruchami kwiatów umarłych i wspomnień o dawnej czystej, poczciwej i kochanej Jadwini... Ach!... znowu zrywam ugodę... przepraszam pana!...

Leon. Pani Jadwigo!... życie poplątało się nam obojgu. Gdym był bardzo nieszczęśliwy, gdy opuściło mnie wszystko, została przy mnie miłość idei, miłość kraju.

Jadwiga. *(W zamyśleniu).* Miłość idei... kraju. Jest w tem coś bardzo wielkiego. Pan każdym obrazem swoim chwały krajowi przyczynia i imię jego rozsławia, a ja?... cóż mogę zrobić?

Leon. Kto żyje prosto, cierpi cicho i spełnia obowiązki, ten mu służy.

Jadwiga. Jakie obowiązki?! Dajcie mi je. Mnie nie wystarcza na codzienne życie jedna wielka idealna miłość. Ja jestem kobieta. Ja się muszę przyczepić, owinąć koło czegoś jak bluszcz; inaczej, doprawdy, panie! padnę na ziemię i ludzie podepcą mnie... *(Z wybuchem).* Gdybym mogła chociaż szanować tego!...

Leon. Pani Jadwigo! zastanów się do kogo to mówisz. Ja o pani rodzinnych stosunkach wiedzieć nawet nie mam prawa...

Jadwiga. Tak! nietylko prawa, ale ani obowiązku, ani chęci... Tylko przyjazne serca umieją się zatroskać, tylko cierpiący umieją współczuć. Pan zapatrzony w gwiazdy, przejdzie koło ludzkiej niedoli i nie odwróci głowy, choćby ta niedola krzyknęła za nim: to twoja wina!...

Leon. Moja... wina?...

Jadwiga. O! nie marszcz pan brwi i nie zaciskaj ust. *(Składając ręce).* Ja nie chcę panu robić wymówek... Przebaczyłam dawno, a teraz ja, wietrznica, którą ludzie widzą wesołą i śmiejącą się, taka biedna jestem, naprawdę, że nawet siły nie miałabym do nienawiści...

Leon. Pani! Dosyć . . . . . . Słuchałem dziejów twoich . . . nie doprowadzaj mnie do tego, bym ci opowiedział moje. Gdybyś ich wysłuchała, większy jeszcze ciężar padłby ci na ramiona...

Jadwiga. Nie! nie! Mogliśmy być szczęśliwi i... nie jesteśmy. To wina obojga. Jaka rozpacz pomyśleć, że rozstaliśmy się o jedno nic, o jeden wyraz nieuważny, a rozstali na zawsze... *(zasłania twarz rękami)*... bez nadziei, bez ratunku...

Leon. Ten wyraz dla ciebie, pani, był niczem, ale ja go pamiętam dotąd... mózgiem i sercem... Nie byłem wówczas, czem dziś jestem, byłem ubogi, nieznany i całą moją przyszłością, celem, bogactwem byłaś ty pani!...

Jadwiga. O panie Leonie! panie Leonie! jaki to był sen złoty...

Leon. Ale byłem dumny, bom czuł, że we mnie jest jakaś iskra boża. Kochałem cię nad wszystko, ufałem ci—i nic nie mąciło pogody nademną; aż pewnego wieczora zjawił się pan Karłowiecki, a na drugi już, powiedziałaś mi, że więcej oddajesz niż bierzesz...

Jadwiga. Panie Leonie!...

Leon. Co cię skłoniło, pani, żeś dała ten policzek mojej nędzy dumnej: nie wiem dotąd! Nie mogłaś jeszcze kochać tamtego człowieka, ale ledwie się pokazał, upokorzyłaś mnie. Są krzywdy, których człowiek czujący swą godność znieść nie może: więc — to były ostatnie słowa, jakiem od ciebie usłyszał.

Jadwiga. Doprawdy... gdy słyszę co pan mówi... potrzebuję zmysły trzymać na wodzy... Zaledwie się ukazał tamten... wybuchnąłeś zazdrością. Jam powiedziała, że więcej oddaję niż biorę, a pan zrozumiałeś, że mówiłam o pieniądzach nie o uczuciu?... więc pan mógł mnie posądzać, żem chciała rzucić panu w oczy mojem bogactwem, więc pan poczytywał mnie za zdolną do tego? dla tego nie mógł przebaczyć? dla tego oddalił się? dla tego złamał życie moje i swoje?...

Leon. Zapóźno o tem mówić! zapóźno! Pani wiedziałaś wówczas i wiesz dziś, że nie mogłem zrozumieć jej słów inaczej... W tamtym czułaś człowieka z twego świata, który tak lubiłaś, iż zdawało mi się nieraz, że ci był droższym nawet nad miłość naszą. W tych zwątpieniach bólu nie uspokoiłaś mnie... Bawiła cię ta myśl, że wyciągasz do mnie rękę z góry — jam zaś tę rękę w chwili przebranej miary i upokorzenia odtrącił. Wiedziałaś o tem wówczas i wiesz dziś!

Jadwiga. Wiem dziś, ale nie wiedziałam wówczas, przysięgam na wspomnienie matki! Gdyby jednak nawet tak było, czemu pan nie przebaczył? O Boże! doprawdy można stracić zmysły. I nie było ani czasu, ani sposobu wyjaśnić nic!... Odjechał i więcej się nie pokazał... Co ja mogłam poradzić? Gdy się pan pogniewał, gdy się tak zamknął w sobie, żal mi ścisnął serce i — wstyd mi jeszcze dziś powiedzieć; ale patrzyłam w oczy pana jak piesek pokojowy, co chce pokorą gniew rozbroić. Gdzietam!... Więc myślałam sobie: przy pożegnaniu uścisnę mu rękę tak poczciwie i serdecznie, że przecie zrozumie i przebaczy... Przy pożegnaniu ręka mi opadła, bo pan skłonił mi się zdaleka. Połknęłam łzy i upokorzenie, pomyślałam jeszcze: wróci jutro... Upłynął dzień, dwa, potem tydzień, potem miesiąc.

Leon. Potem... wyszłaś pani zamąż...

Jadwiga. *(z wybuchem).* Tak! daremne łzy i czas nauczył mnie, że to było na zawsze— więc w sercu wezbrał gniew, chęć zemsty nad panem i nad sobą. Chciałam się zaprzepaścić, bom sobie powiedziała: ten człowiek nie kocha mnie i nie kochał nigdy. Poszłam zamąż, jakbym się rzuciła przez okno — z rozpaczy — bo wierzę w to dotąd. Nie kochałeś mnie!...

Leon. Pani!... nie bluźnij, nie przyprowadzaj mnie do wybuchu... Nie kochałem cię?... Spojrzyj w tę przepaść, którąś otworzyła podemną, porachuj noce bezsenne, w których szarpałem piersi z bolu; porachuj dni, w których wołałem cię jak z krzyża... spojrz na tę wychudłą twarz, na drżące ręce i powtórz raz jeszcze, żem cię nie kochał!... Co się się ze mną stało? jakie mi życie było bez ciebie? Dziś ta głowa w laurach, a tu w piersi głusza, pustka i nieprzebrany żal i niewypłakane łzy, a w oczach ciemność wieczna! O na Boga żywego! jam ukochał cię każdą kroplą krwi, każdą myślą moją i nie umiałem kochać inaczej. Straciwszy ciebie, straciłem wszystko: gwiazdę moję, siłę, wiarę, nadzieję, ochotę do życia i nietylko szczęście, ale zdolność do szczęścia. Kobieto! czy ty rozumiesz straszne znaczenie tych wyrazów: straciłem zdolność do szczęścia! Nie kochałem cię? O rozpaczy! Bóg jeden wie, przez ile nocy wołałem do niego: Panie! weź mój talent, weź moję sławę! weź moje życie, a wróć mi na jednę chwilę moję Jadwigę, taką, jaką była dawniej...

Jadwiga. Dosyć już. Boże! co się ze mną dzieje... Leonie!... kocham ciebie!

Leon. Jadwigo moja!!...

(Przyciska ją do piersi. Chwila milczenia.)

Jadwiga. Odnalazłam cię. Ja ciebie zawsze kochałam... Ach! jak mi było źle na świecie bez ciebie... Ja tą miłością broniłam się dotąd od wszystkiego... Ty nie wiesz o tem, ale ja widywałam ciebie!... Sprawiało mi to radość i ból... Dłużej już niepodobna było mi żyć, więc cię wezwałam... Umyślnie to zrobiłam... Gdybyś nie przyszedł, stałoby się coś strasznego... Teraz się już nie rozłączymy nigdy... nigdy nie pogniewamy się ze sobą... prawda?...

(Chwila milczenia.)

Leon (budząc się jak ze snu). Pani! Przebacz mi... Teraźniejszość podsunęła się za przeszłość... więc... dałem się porwać złudzeniu... Przebacz mi...

Jadwiga. Co ty mówisz, Leonie?

Leon. (surowo.) Zapomniałem na chwilę pani, że jesteś żoną cudzą.

Jadwiga. O! tyś zawsze prawy i zacny. Nie! my nie będziemy prowadzili występnego romansu. Ja wiem, ja ciebie znam mój wielki, mój szlachetny, mój Leonie! Ta ręka która się do ciebie wyciąga, czysta jest: przysięgam ci. Przebacz i ty mnie z kolei chwilę zapomnienia. Oto stoję tu teraz i mówię ci: nie będę twoją, póki nie będę wolną. Ale ja wiem... mój mąż zgodzi się na rozwód. Zostawię mu cały majątek, i za to, żem zraniła kiedyś dumę twoją, bo to była moja wina: tak! moja tylko! — za to weźmiesz mnie biedną, w tej jednej sukni — prawda? tak będzie dobrze? Potem zostanę twoją prawą żoną. O mój Boże! i ja będę poczciwą, kochającą, kochaną. Ja tak do tego tęskniłam duszą całą. O naszej przyszłości nie mogę myśleć bez łez. Bóg jest tak dobry! Gdy ty wieczorem wrócisz z pracowni, już nie wrócisz do pustych ścian, ani do zgryzoty, bo ja cię będę czekała, każdą twoją radością, każdym twym smutkiem podzielę się z tobą jak kawałkiem chleba... Doprawdy, nie mogę od łez... Patrz, że ja nie jestem taka zła, byłam tylko bardzo biedna... Kochałam cię zawsze... Ach! ty niedobry! gdyby nie twa duma, dawnoby się to stało... Powiedz jeszcze raz, że kochasz, że zgadzasz się wziąć mnie, gdy będę wolną — prawda Lwie?...

Leon. . . . . Nie pani! . . . .

Jadwiga. Leonie, mój ukochany!... czekaj!... Może nie dobrze słyszałam... bo to... mi się w głowie nie chce pomieścić, że gdy ja wiszę nad przepaścią rozpaczy i rękoma chwytam za krawędź, ty, ty zamiast mi podać rękę, nogą następujesz mi na palce. Nie! to nie może być! Tyś zadobry na to. Nie odpychaj mnie... Mnieby się teraz bardziej jeszcze potargało życie. Ja nie mam nikogo na świecie prócz ciebie, i widzisz, z tobą razem straciłabym nietylko szczęście, ale wszystko, co jest jeszcze we mnie lepszego, co woła o życie ciche i święte... Bo teraz byłoby już nazawsze. Ale ty nie wiesz, jaki sam będziesz szczęśliwy gdy mi przebaczysz i uratujesz. Tyś mnie przecie kochał. Sam to powiedziałeś... jam szalała... Teraz wyciągam ręce do ciebie, Leonie, jak tonąca — ratuj mnie!...

Leon. Czas skończyć tę mękę wzajemną. Pani, jam człowiek słaby! — uległbym, gdyby... Pragnąłem ci tego oszczędzić, gdyby nie to, że zbolałe i obumarłe serce moje nic ci dać już nie zdoła, prócz łez i litości...

Jadwiga. Nie kochasz mnie?

Leon. Nie mam siły do szczęścia. Kochałem cię. Serce zadrgało na chwilę wspomnieniem, jak po umarłej; ale tamta — umarła. W bolu i męce mówię ci, pani: nie kocham cię.

Jadwiga. Leonie!

Leon. Ulituj się nademną i przebacz mi...

Jadwiga. Nie kochasz mnie?...

Leon. Co umarło, nie zmartwychwstanie. Żegnam cię...

Jadwiga. (Po chwili)... Dobrze!... jeśli pan sądzisz, żeś dość upokorzył mnie, dość podeptał, dosyć się zemścił: to odejdź... *(Do Leona, który chce odejść).* Nie! nie! zostań!... zmiłuj się nademną...

Leon. Niech się nad tobą... niech się nad nami, Jadwigo, zmiłuje — Bóg! *(Odchodzi).*

Jadwiga. Stało się!!

Służący (wchodząc.) Hrabia Skórzewski!...

Jadwiga. Ha!... Prosić! prosić... Cha! cha! cha! *(Śmieje się spazmatycznie).*

K O N I E C.

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

SZTUKA NADREŃSKA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Więc jeszcze tylko o Holendrach będzie mowa i o protestanckiej sztuce, a opuścimy Ren, porzucimy pisanie i pożegnamy się z czytelnikiem. Od początku postawiliśmy sobie za zadanie pisać o tem tylko co dobrze znamy, więc choć pewno sztuka hiszpańska i angielskie tumy wielce ciekawe, zamilczyć wolimy niezbadawszy dobrze. A o sztuce dzisiejszej i sztuce polskiej, co dziś króluje, będziemy kiedyś mówić, ale w innym celu i inaczej, nie jako badacze, ale jako krytycy. Więc o Holendrach jeszcze mowa będzie i zamilkniemy, sądząc żeśmy i tak dość powiedzieli by dopiąć założonego celu i zbadać to co leży u dna wszelkiego uczucia piękna — w Europie przynajmniej i o tyle, o ile się oczom piękno jawi.

Dotąd widzieliśmy wszędzie, że maalrstwo i rzeźba odtwarzały to, co uważano za rzecz świętą i niepowszednią i niecodzienną i niebędącą własnością jednostki; odtwarzało ono zawsze ideały, a te ideały bywały niezmiennie patrjotycznej, religijnej albo choć rzadko filozoficznej natury. Czasem tylko trafiało się, że odtwarzano bóstwa, w które już nie wierzono, malując mitologiczne obrazy za chrześcijańskich czasów; wyjątek stanowiły na pozór portrety, ale na pozór tylko, bo rzadko kiedy trafiały się portrety inne nad wizerunki wielkich albo przynajmniej znakomitych ludzi. Tak było dotąd wszędzie, w Grecji, we Włoszech i nad Renem. W Holandji będzie inaczej.

Rzekłby może kto, że to, że malowano w Amsterdamie i Harlemie krajobrazy, obrazy rodzajowe i portrety nie dowodzi aby zarzucono malowanie ideałów, że to tylko świadczy, że ideał nowożytny narodził się na północnym brzegu Renu i że nie już Bóg i nie już państwo, ale obywatel pojedyńczy stał się Holendrów ideałem. Ale przypatrzmy się bliżej temu twierdzeniu, przekonamy się łatwo, że nie da się bronić, że stoi w niezgodzie jawnej z dziejami i że zawiera w sobie samem przeczenie. Bo czemkolwiek nazwiemy ideał, czy weźmiemy słowo w pospolitem czy w ścisłem znaczeniu, zawsze przekonamy się po rozwadze, że bydło i garnuszek świecący i stara baba skubiąca pietruszkę i pijany chłop nie mogą stanowić ideału. W ścisłem znaczeniu tego słowa jest ideałem albo bóstwo, albo nagie lub o ile możności oderwane wyobrażenie ludzkości, albo życia albo rodzaju jakiegoś. Nie to co jest szczególne, lecz to co jest ogólne i wspólne, stanowi właściwy ideał, a ceruliki i pocztyliony, pastuchy i kamienice nie mogą być idealnemi, co najwięcej mogą być typicznemi.

Że ideał prawdziwy zawsze jest wolnym od naleciałości obcych, a że naleciałości takie bywają w organizmie ludzkim źródłami choroby, a w myśli dowodem ograniczenia, więc słowo ideał nabyło tak w życiu jak w estetyce drugie niewłaściwe znaczenie, i oznacza rzecz dobrą i piękną zupełnie. Do takiej się rzeczy dąży taką się czyni. Co jest fizycznie idealnem jest niem zawsze we właściwem tego słowa znaczeniu; czyn bywa idealnym, albo uczucie bywa idealnem w niewłaściwem tego słowa znaczeniu, gdy nie jest przeciętnem i zwyczajnem, ale gdy daje dowód potęgi, miłości i ofiary.

Otóż obrazki na których widać kosterów albo pijaków nie są z pewnością idealnemi w tem znaczeniu tego słowa. A nie dajmy się tu przekupić słowami i teorjami socjalnemi, jeno bądźmy ścisłymi i chciejmy się zrozumieć.

Przypuśćmy, że ludzkość ma się pozbyć wiary pozytywnej i państwa i pojęcia ojczyzny; przypuśćmy że jej celem i szczęściem ostatecznem będzie życie ciche pozbawione burz i wielkich dziejowych wypadków. Uczyniwszy to, zestąpimy na pole obrony przez obrońców rodzajowego ideału i walczymy bronią dla nich najdogodniejszą. Nie czynimy tego jednak z rycerskiej donkiszoterji, ale dla tego, że w tym wypadku tak czynić wypada. Ludzie ci twierdzą, że Holendrzy tak malowali jak malowali, dlatego, że mieli taki ideał jak ten, któryśmy tu uważali za możliwy; to jest. że taki stan uważali za najlepszy. Otóż twierdzimy my, że w takim nawet razie nie uważaliby za rzecz idealną przedmioty przez siebie malowane.

Ideałem w niewłaściwem znaczeniu byłoby poświęcenie się za takie nowożytne bezkonfesyjne i bezpaństwowe społeczeństwo. Ktoby go szukał tenby malował historyczne sceny na wzór tych, które za dni naszych wydaje malarstwo heroiczne, o ile broni demokratycznych lubo wcale nie tak skrajnych tendencji. A gdyby chodziło o przedstawienie osiągniętego dobra i szczę-

*

ścia, powstałyby obrazy przedstawiające zawsze piękne i szczęśliwe i kochające postacie, nowe bóstwa demokracji widziane nie w niebie ale w przyszłości; uosobistnienie postępu. W jednym razie powstałoby malarstwo historyczne, w drugim religijne nowego rodzaju, albo jeżeli wolisz, filozoficzne.

A jeżeli kto twierdzi, że Holendrzy nie szukali doskonałości, że starczyło im życie samolubne, domowe wraz z chorobą, ubóstwem i występkiem i że malując wypadkową i jednostkową teraźniejszość właśnie swój ideał malowali, twierdzi chyba to, że właśnie żadnego ideału nie mieli, nie mając pojęć oderwanych i nie pragnąc doskonałości, i że dla tego go nie malowali, bo go nie mieli.

Więc na każden sposób faktem jest, że malarstwo holenderskie nie zdradza tęsknoty za ideałem. A fakt byłby to niezmiernie ciekawy gdyby dowodził rzeczywiście, że naród ów ideałów nie pragnął; dowodziłoby to bowiem, że mogą ludzie i to ludzie wysoce wykształceni nie mieć poczucia tego cośmy dotąd uważali za samąże podstawę pragnień estetycznych. Widzieliśmy jak Grecy starali się swój ideał uprzytomnić namacalnie, jak Włosi zbliżali się do ideału, za pomocą symboliki, a Flamandzi za pomocą współczucia. Czyż tedy koryto Renu miałoby wystarczyć na granicę między idealistycznemi i nieidealistycznemi narodami? Czyżby trochę więcej czystej krwi germańskiej miało tęsknotę za ideałem zatopić? Czyżby ostatecznie nie wielka różnica dogmatyczna miała nakazać milczenie odwiecznemu głosowi narodów? Dziwnemby to było.

A że tak nie było dowodzą tego dzieje, dowodzą inne gałęzie holenderskiej sztuki. Nigdzie takiego heroizmu nie widziano może jak w Holandji u schyłku 16go i na początku, ba nawet przez cały przeciąg 17go wieku; nigdzie może nie poświęcano hojniej krwi i mienia dla sprawy ogólnej, dla wyższego ideału. Sześćdziesiąt lat przeszło walczono z wszechmocną naówczas Hiszpanją bez tchu i wytchnienia w obronie ojczyzny i wiary, a i później oddawano wszystko dla tejże samej sprawy. Zadłużono kraj tak że podatki nie dawały się prawie rozwinąć dobrobytowi u tak pracowitych i oszczędnych Holendrów, a gdy było potrzeba zatopiono ogrody i łąki przeludnionych prowincji. Mieli tedy Holendrzy ideał i ukochali go.

Za ojczyznę i wiarę, za ognisko i ołtarze — oto hasła powtarzane od wieków powtarzane i dziś nieraz wśród krwawych zapasów. Obejmuje ono to, co było dotąd ideałem narodów. Spytać się jednak wypada czy u Holendrów ojczyzna szła naprzód, czy wiara? Czy kochali Niderlandy i bronili je dla tego, że były protestanckiemi, czy stali przy protestantyzmie dla tego, że był obroną niepodległości niederlandzkiej?

Pewnie obie rzeczy łączyły się z sobą w myśli Holendra i ani w jednej ani w drugiej miłości nie było obłudy. Ale prym był przy wierze. Nie byłby się zawachał ówczesny kolonista, gdyby mu byli dali do wyboru między krajem a dogmatem o predestynacji, i owo górowanie religijnego ideału było tak potężnem, że ono jedno tylko mogło natchnąć rzeczywiście heroiczne dzieła sztuki.

My wiemy w Europie prawie tylko o obrazach Holenderskich; o poezji niederlandzkiej nie wiemy nic prawie. Ale w Holandji poeci siedmnastego wieku są bliżsi serca narodu od malarzy, i van Voegel stoi wyżej od Rembranta. Otóż Van-Voegel napisał heroiczne arcydzieło, rzecz monumentalną wcale różną od rodzajowych kompozycji malarskich, idealną pomysłem a olbrzymią zakrojem. Jest to dramat, w którym opisano bunt aniołów, i który służył za wzór Miltonowi, jedna z pereł literatury europejskiej, a rzecz tak samo na wskróś chrześciańska i protestancka, jak współczesne utwory Calderona są na wskróś chrześcijańskie i katolickie. Gdyby tedy miało się było rozwinąć idealne malarstwo holenderskie, byłoby to było malarstwo religijne. .

A samaże ścisłaść protestantyzmu broniła religijnego malarstwa. Wszak onoby mogło nazad zaprowadzić do tego co zwano katolickiem bałwochwalstwem. Więc skoro się obudziła w tych Żuławach żądza obrazów, musiała się zrzec tego, co było jej ideałem i zejść na inne tory. Wstydząc się tego, malowano tylko malutkie obrazki, z wyjątkiem jednych portretów.

Na samym początku, jeszcze w szesnastym wieku spotykamy braci Breughelów, jedwabnego, chłopskiego i djabelskiego. Malują oni jeszcze plamisto, jaskrawo, ale w nich już widać zakrój przyszłej szkoły; widać trzy kierunki z których dwa przynajmniej ostały się i później w sztuce holenderskiej, a które wszystkie trzy wybitnie znamionują germańskie plemie.

Jak na fasadzie katedry Strasburgskiej i jak niegdyś w obrazach Dürera i Grünewalda, a do dziś dnia w owych sławnych zabawkach norymbergskich tak i u wszystkich trzech Breughelów występuje na pierwszy plan drobnostkowość i minjaturalna misterność. Spojrz-że na jedno z dziwnych płócien Breughela I., co podobne niby do planu zdjętego balonem, a jeżeli co podziwiać będziesz to chyba figurki drobne z dziwną dokładnością wykonane, a postrojone w aksamitne stroje i pióropusze, o których nie pojmujesz jakimto sposobem powstały w tak małych rozmiarach. Na kilku kwadratowych calach płótna, masz setki osób panoramicznie rozstawionych i na kurtce figurki na ostatnim planie policzysz wszystkie guziki.

Obok drobnostkowej akuratności występuje tu na jaw niejako chełpliwość kupiecka jak niegdyś u Van-Eyka, choć niezaczarowana Van-Eykowskim kolorytem „patrzcie“, mówi Breughel jedwabny „jakie to piękne materje noszą w Holandji!“

Owego to Breughela duchownem potomstem byli w siedmnastym wieku Mieris, Metzu i Terburg, którzy malowali większe trochę figury wzięte z życia mieszczańskiego i szlacheckiego najczęściej, bez humoru i dość bezmyślnie, ale dziwnie wiernie i z niezrównanie prawdziwym kolorytem, bacząc przedewszystkiem na to by jedwab i aksamit, koronki, perły i rękawice wydały się jak najlepiej i wystąpiły jakby na jawie na płótnie.

Sławniejsze potomstwo miał Breughel chłopski, boć i on sam był wszechstronniejszy. Obrazów jego pozór podobny na pierwszy rzut oka do fizjonomji obrazów jedwabnego imiennika i tu widać ludzi plamisto malowanych i malutkich. Ale jest w nich większa prawda, większa charakterystyczność. Są to wszelkiego stanu i wieku Holendrzy porozrzucani po krajobrazach niederlandzkich, najczęściej na tle zimowem. Śnieg zakrywa ziemię, wiatraki wystają na mroźnem niebie, a ludek mnogi i różnorodny pomięszany z bydełkiem chodzi po obrazie, w którym nie masz żadnej jedności i żadnej przewodniej myśli. Patrząc na obraz taki myślisz, że to obrazek widziany w *camera obscura* tak wierne to, żywe i nieartystyczne.

On wszystko malował co się nadarzyło. Potomstwo jego artystyczne pojęło potrzebę jedności w myśli i jedności w kompozycji, Podzieliło się tedy późniejsze malarstwo holenderskie tego rodzaju na malarstwo krajobrazowe, zwierzęce i karczemne.

W krajobrazie zyskało trzech ludzi największą sławę: Hobbema, Ruisdael i Cuipp.

Hobbema, to także camera obscura, ale w niej się odzwierciedla sama tylko przyroda, co najwięcej przystrojona w kilka budynków pozbawionych wszelkiej architektonicznej pretensji. Kilka drzew rośnie na łące, niebo odbija się w stawie, albo wielki wiatrak stoi na pagórku, a niebo nad głową chmurne dość, tak że tylko gdzie niegdzie promyk błędny przekrada się wśród chmur. To Hollandja i to krajobraz Hobbemy. Zieloność syta karmi oko, rozmaitość roślinna wspomina jakieś ciche i spokojne życie, a na niebie dziwne kobierce mgły i chmur przepuszczają tylko czasem promień złoty, gościa upragnionego, którym się radujesz, malarza co czarodziejskim pędzlem świat barwi. Zwykle widzisz tu prawdę tylko, ale raz krajobraz ten wzrósł u Hobbemy do poetycznego nastroju. Jest w Paryżu w Luwrze, w salon carré, wiatrak co stoi na górze i potężne ramiona rozwarł, i rusza niemi namiętnie kołując, poruszany przez wiatr, co drzewo każde i liść każdy ugina. U góry widać błękit uroczysty wieczorny, ale wielki obłok czarny siadł u widokręgu gromem ciężarny, i stał się tłem poprzed które występuje młyn czarny jakby olbrzym fantastyczny i groźny. Jest tu moc we wszystkiem. I wicher i obłok ów czarny, i wieczór, i grom ukryty potężne są. To duchy jakieś co zamieszkały w przyrodzie i z mocą kroczą poprzed ciebie. A czarny wielki młyn stoi sam na wzgórzu i grozi.

A takim jak Hobbema był raz w życiu, takim bywał zawsze Ruisdael. Malując prawdę nie zapominał o pięknie, a szukał go w smętku jakimś i w grozie. Nie skały maluje dzikie, nie szalone wodospady, ale rzeczy najprostsze. Widać na płótnie płaszczyznę, a na niej różne zboża zagony. Owies zielony jeszcze, dochodzi pszenica, doszło już żyto — a zresztą płaszczyzna jakby step. Droga samotna okurzona idzie wśród stepu tego, a trzy domy o czerwonych dachach stoją na odludnej przestrzeni. Niebo szare i bure a bezbarwne i nudne, a jeden tylko promień słońca przedarł się przez obłoki, i chodzi samotnie po kłosach żyta i pszenicy, po martwym niemym ludzie, jak wędrowiec wśród stepu zadumany — sam wśród szarej nieskończonej tęsknoty, co prawi nie wiedzieć o czem, i szepcze, i mruczy mowy wieków i przestrzeni.

To w Rotterdamie; a w Amsterdamie w galerji Liks, szaleje wśród nocy zimowa zawierucha, i trzęsie kościotrupami drzew i straszy jakąś starą szopę, co ledwie jeszcze stoi, a starzec i dziecko błądzą wśród tej grozy i śnieżnicy. Na jawie widzisz niemoc człowieka i przemoc przyrody, i litość cię bierze i groza, i przyznasz, że wielkim bywał Ruisdael.

Cuip to już człowiek inny. Z całego życia natury zrozumiał jedno tylko słońce. Kamienice malował i na tych kamienicach pełne światło słoneczne i cieszył się niem, jak dziecko się cieszy.

Inaczej pojmowano słońce współcześnie na południu, gdzie pod niebem włoskiem jeden Neapolitańczyk a dwu Francuzów malowało współcześnie krajobrazy. U Salvatora Rozy złoci ono dzikie szczyty plastycznego krajobrazu, w którym jaskrawo oświecone góry i skały piętrzą się z architektoniczną grozą; u Poussina przesela ukośne promienie zachodu między klasyczno-sentymentalne gaje, wśród których płaczące brzozy otoczyły smętne kaskady, podobne do konwencjonalnie zapłakanych królewien Rassyna; u Claude Loraina rozpłomieniło ono płaską kompanję Rzymu kryjąc ją tkanką złotych promieni; tu u poczciwego Holendra nie ma klasycznych aspiracji, ani traicznego majestatu. Bez koturnu migoce po kanałach Delftu lub Lejdy, i nie cieszy tem, że wspaniałe, ale tem, że ciepłe i że przecie raz ogrzeje mgłą przesiąkłe ściany kamienic.

Jest trochę tego słońca i u najsławniejszego z holenderskich malarzy zwierząt, u Pawła Pottera. Tylko że u niego słońce wygląda nie śmiało z poza owych chmur zakrywających szarą pomroką całe żuławy Renu. Malowniczo, nie po holendersku prawie, prawie romantycznie wygląda srokata krowa w galerji Lix nad urwiskiem stojąca. Czarne chmury służą jej za tło, o które biała skóra odbija świetlano, a głowa oblana niespodzianie światłem słonecznem wydobywającem się z po za obłoków. Jest w tem wszystkiem coś tęsknoty i powagi Ruizdaela, i coś światła Cuipowskiego. Ruizdelowskim już ze wszystkiem jest ów ogier z rozpuszczoną grzywą, co podobnie w Amsterdamie w Trepenhnizie rży wsród płaszczyzny zielonej, i smętnej słoty. Samym sobą, i malarzem bydła, jest Potter w owym byczku roczniaku, naturalnej wielkości, wywieszonym pompatycznie na honorowem miejscu w galerji w Hadze.

Masz tam ekstatyczne Madonny Murilla, Wenerę Rafaela, drugą Tycjana, masz raj i Adonisa Rubensa i królewski iście, arcypiękny hiszpański portret, malowany przez najrzadszego ze wszystkich może mistrzów, a przez jednego z tych, co najpotężniej władali kunsztem: Antonia Mora. Ale ich dzieła w pobocznych salach rozwieszone, i ciekaw jesteś, czem może być ów byk, co zajmuje centralne i najzaszczytniejsze miejsce, oddawane zazwyczaj we Włoszech mistycznym Madonnom, albo miłośnym Chrystusom. Ciekaw jesteś, póki nie staniesz przed wielkiem jasnem płótnem, na którem widzisz owego byczka, i jeszcze krowę i jagnię i pastucha, malowanych płasko, i brzydkich.

Tu Holandja straciła konieczną miarę. Na małych płótnach z przedziwnym kunsztem malowała małe i nie znaczące przedmioty, jako drobne a cenne sprzęty domowe. Tu odmalowała podobny przedmiot na rozmiar heroiczny, i kunsztu jej do tego nie stało i myśli. A jakiś amator królewski, wiął ilość za jakość, i największy na łokcie obraz zawiesił u siebie na honorowem miejscu.

A jeszcze dziwniejszem może to, że Hondeköter malował także na wielkie rozmiary drób. Darujesz mu to może, gdy przypomnisz sobie, że owe migocące pawie, indyki, kaczory i koguty, świetnie przystrajają barwą swoją jadalnię, wśród której wywieszone.

A potem w tych pstrych obrazach odbywa się niewiadomo, czy to dramat, czy komedja, bo gniew i obawa, miłość i zazdrość przedziwnie występują wśród tego drobiu. Ptaki te, to niby ludzie, i obrazy te to niby bajki Ezopa. Tylko, że w tamtych jakiś morał ukryty, a tu tylko jakby zwierciadło głupstwa ludzkiego. Tu indyk z pawiem walczą o kochankę indyczkę, tam papuga wleciała między drób pośledni, i gorszy się tak pospolitem towarzystwem. Patrząc na to chce ci się śmiać z tego, że tak mizernym istotom zachciewa się uczuć ludzkich.

Także dramat, ale już nie śmieszny wcale widuje się u Snydersa w owych walkach zwierząt zakrywających sążnie płótna. Dzik, lew, lampart i ogar, dziwią cię i straszą walkami swemi, i siłą i krwiożerczością, budząc w ludziach jakieś myśliwskie instynkta i jakieś pierwotne chucie spragnione krwi i boju.

A teraz wejdźmy znów w małe ramy i powitajmy karykaturzystów właściwych. To najbardziej ongi cenieni potomkowie chłopskiego Breughela, karczemni malarze, którzy pokazywali ludziom, w czem człowiek do zwierząt podobny, jak może być brzydki i bezmyślny. Jakiś chłop u Breuwera robi w galerji Lichtenstein w Wiedniu minę tak głupią, a tak zadowolnioną z siebie, że musisz się śmiać patrząc nań; a jakeś nie nadto moralizująco usposobiony, zaśmiejesz się także przy owych Holendrach i Holenderkach głupich i starych i brzydkich, co przy fajerce i kufelku gruchają do siebie w brudnej karczmie na obrazach van Ostadego. Niewiem tylko, czyli będziesz się śmiał przy sławnem płótnie Van der Miera, co zwisło w galerji drezdeńskiej.

Może cię tu opanują inne a mięszane uczucia. Dziwna intenzywność barw rozlanych na wielkiej względnie przestrzeni zachwyci twoje oko, a może i duszę zabawi, jakby Wenecką muzyka. Razić cię będzie przedmiot, i nie wyda się już śmiesznym, ale obrzydliwym. Ta brutalna, pijana miłość dwojga brzydkich ludzi, bawiłaby cię tylko, gdyby ludzie ci byli manekinami na małym obrazku. Tu są namacalnymi ludźmi, ludźmi, podobnymi do ciebie, i nie śmiejesz się, bo musisz z nimi współczuwać, a to współczucie brzydzi i upokarza.

Niech to nikogo nie razi, że tak prędko przechodzimy po nad głowy wszystkich owych małych wielkich mistrzów. Nie lekceważymy ich kunsztu, ale sądzimy, że sami się skazali na takie tylko wzmianki, gdy się świadomie zrzekli ideału, i gdy zamiast obrazów, zaczęli malować obrazki. Niech to tedy nikogo nie gorszy, żeśmy już skończyli z mnogiem potomstwem drugiego Breughela, i żeśmy opuścili wielu malarzy, od którychbyśmy się nic nowego nie dowiedzieli. Byli i w Holandji malarze, którzy więcej myśleli i czuli — a do nich teraz droga. Jednak i o nich nie będziemy mówić tyle co o Włochach, lub Rubensie. Nie myślimy równać naszego pióra z ich mistrzowskim technicznie pędzlem; ale niech nam wolno będzie powiedzieć, że choćbyśmy nawet pisali tak dobrze, jak pisać tylko można, nie moglibyśmy jako autorowie skromnych studjów i rozpraw, chcieć aby historyk literatury prawił o nas tak długo, jak o poetach wielkich początku naszego stulecia. Ci, o których nam teraz mówić przyjdzie, byli pierwszymi wśród małych i rodzajowych malarzy, ale wśród takich malarzy tylko. Przodkiem ich Breughel djabelski, królem ich ten pośród Holendrów, który sam jeden wyrósł wysoko po nad poziom swoich rodaków: Rembrant van Rym.

Któż choćby z rycin nie zna owego Breughelowskiego dziwactwa: pokusy świętego Antoniego. Któż nie widział przestraszonego mnicha, otoczonego niewidzianym nigdy ludkiem, wylęgłym w giermańskiej, może nawet schorzałej mózgownicy. Jakaś małpa wlazłszy na stół, podaje świętemu chochlę z rosołem, żywe, ogromne, pieczone kurczę, wrzeszczy aby je zjadł święty, zielone i niebieskie djabełki tańczą dokoła podskakując i wrzeszcząc. Drużyna ta byłaby obrzydliwą, straszliwą na wielkim obrazie; w tej miniaturze nie budzi złudzenia, więc ani nie straszy, ani nie brzydzi, a bawi dziwactwem. Ta dowolność wyobraźni ludzkiej, ma w sobie coś twórczego, co żąda poklasku; to cudactwo niewidzianych kształtów daje pokarm wyobraźni, i pragnienie nowej wiedzy. Widzi się na tem płótnie to, czego się gdzieindziej nie widziało, a co istniało tylko w głowie malarza. Zagląda się w myśl drugiego człowieka, i widzi się w niej twory różne i moc twórczą.

A pamiątką i przypomnieniem tych figlów djabelskich, owe małe arcydzieło Gherarda Dowa, ów alchemik o długiej białej brodzie, co w galerji Lix w Amsterdamie zasiadł w czerwonej kapocie, przy stoliku nad rozwartą ogromną książką. Noc dokoła, ale wielka izba rozświecona płomykiem lampy; rozświecona niezrównanie.

On ci bada rzeczy, których badać nie wolno; brzydkie, straszne, tajne, zakazane. Krokodyl wypchany zwisł nad jego głową, a cień krokodyla łamie się fantastycznie na ścianie, jakby czarny cień złego ducha. Ogromne retorty i suche kościotrupy, wyglądają z zamroczonych kącików niewyraźnie, jakby nocne strachy. Obraz to maleńki, malowany przecudownie, klejnot barwy i światła kosztowny, a prawdziwe cacko gdy się spojrzy na te żywe a drobniutkie ciałko malutkiego alchemika, i na te rączki niedostrzeżone prawie, a tak prawdziwe, co obracają kartki księgi. A w tem cacku i klejnocie jest przecie i myśl. Bo czyż niegodzien podziwu ten starzec samotny, co z miłości dla wiedzy został sam na sam z zaklętemi tajemnicami? Czyż nie wzrasta człowiek w jakąś dziwaczną potęgę gdy wpatruje się w życie nieświadome, przemożne, nieujęte natury, co go symbolicznie otoczyła wśród nocy, mówiąc tajemniczym językiem?

Dow kochał człowieka i cenił go. Umiał w małych obrazeczkach malowanych przecudnie, i nad wyraz plastycznie, odtworzyć miłość i poświęcenie; umiał minjatury przejąć wdziękiem właściwym minjaturom. Widzieliśmy dopiero zuchwałego uczonego, co z odwagą starości wszedł w demoniczny i zaklęty świat. A nie wychodząc z Amsterdamu, ujrzymy w galerji van Loo ascetę pustelnika co wśród jaskini krzyż całuje. I jeden i drugi zapomnieli o sobie. Pierwszy zanurzył się i zgubił w wszechświecie, nie jak szalejący bóg grecki, ale jak uczony mąż północy. Drugi zlał się z Bogiem, ukochał Boga, zapomniał o wszystkiem, a o nim tylko pamięta. Tego by Dow nie uczynił; może i nie ze wszystkiem by to Dow pochwalił, boć malarz protestant, a ów pustelnik dopełnia katolickiej dewocji. Ale odgadł Dow, że i w tem zapomnienie o sobie; a sądził on, że człowiek wtedy wielkim i pięknym gdy o sobie zapomina. Jak Holender prawdziwy nie wiele dbał o klasyczne piękno ciała, o rytm ruchów i wspaniałe fałdy szat; postacie jego ładniutkie, ale pospolite raziłyby na wielkim obrazie. W owych drobnych pieścidełkach ćmią barwą, a przemawiają do ciebie prawdą i naiwną miłością.

Taka to miłość występuje w formie codziennej w obrazku przecudownym w Hadze. Na poddaszu dwie ubogich kobiet siedzi przy kołysce dzieciątka. Jedna kołysze, druga pończochy ceruje. Ot i wszystko, ale to spokojne i pełne światła i miłości.

(Dokończenie nastąpi.)

JAPONJA

przez

K. SKAŁKOWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy.*)

IV.

Jokohama; kolonja europejska. — Jankiro. — Tokjo: jego powierzchowność, poselstwo rosyjskie, misja prawosławna.— Fabryka biletów kredytowych, t. j. banknotów. Finanse, — Skarbowa fabryka papieru. — Jokoska, marynarka wojenna.

Z Kobe do Jokohamy podróż morzem trwa półtora doby, przyczem w drodze nie widać nic, prócz morza i widnokręgu, bo z powodu mgły wielkiej, brzegi wyspy Gondo są zaledwie dostrzegalne. Parostatek umyślnie stara się trzymać jak najdalej od brzegów wyspy, zwłaszcza gdy od strony oceanu wieje wiatr dość silny, przemieniający się często w tych stronach w szalony orkan, zwany tajfunem. Niech ręka Boska strzeże być wtedy nie tylko na morzu, ale i na wybrzeżach; tajfun bywa tak wściekły, że grube liny okrętowe targa na włókna, przerzuca okrętem jak piłką z morza przez parkan do ogrodów nad brzegiem leżących, przesuwa ogromne głazy z miejsca na miejsce o kilka sążni, rozwala domy i wyrządza tysiące innych szaleństw.

Nieraz Jokohama była świadkiem podobnych psot wściekłych, ale zato podczas pogody cóż może być piękniejszego nad Jokohamę, której nazwa w roku pańskim 1880 stała się w Europie bardzo popularna pomiędzy niewiastami, dzięki modnym kapelusikom, ochrzczonym w Paryżu imieniem „Jokohama“. Z okrętu, w porcie, zawalonym mnóstwem parostatków — bo żaglowe rzadko tu zawijają — przedstawia się prześliczna panorama, której tło stanowi wysoka góra Tobe. Gdy powietrze jest jasne, można dostrzedz wulkan Fuźi-Jama, wiecznym pokryty śniegiem; jest to najwyższy szczyt w całej Japonji, góra święta dla każdego Japończyka. Krąży mnóstwo rysunków, przedstawiających tę górę czczoną. Można ją podziwiać bardzo często i na plecach śpiewaczek, występujących w herbaciarniach; na tylnej stronie stanika odmalowana sroga paszcza ogniem i dymem ziejąca — to wulkan Fuźi-Jama!

Jeszcze bardzo niedawno jak Jokohama była niczem więcej, jak lichą wioszczyną, w błotach tonącą. W roku 1859 dozwolony został wstęp do niej Europejczykom i wkrótce Anglicy doprowadzili ją do pięknego miasteczka, liczącego 100.000 mieszkańców. Europejczycy zajmują całe dwie dzielnice: jedną wzdłuż wybrzeża, drugą na pagórku, przytykającym również do morza. Pagórek ten, tonący w mnóstwie drzew, krzewów i kwiatów, cały jest pokryty ślicznemi willami, kupieckiej arystokracji. U stóp pagórka, nad samym brzegiem morza, biegnie piękna żwirowa droga; jest to ulubione miejsce spacerów. Tutaj też dla orzeźwienia spacerujących, przytuliły się domki herbaciane ze swemi ładnemi gietczami.

W samem mieście — którego ulice szerokie, przecinające się pod kątem prostym, doskonale są wymakademizowane i w największej czystości utrzymywane — znajdują się liczne banki, magazyny i kantory ze swymi godaunami, tj. składami towarów. Wszystko to nosi na sobie cechę tymczasowości i ani się umywało do Szangaju w Chinach. Dla lokomocji nie ma innego środka, jak ciż sami, co wszędzie, ludzkie bieguny, dżynrykcze. W dniu mego przyjazdu deszcz padał i automedoni japońscy byli w płaszczach z szerokich liści roślinnych, tj. w kostiumie, bardzo podobnym do tego, w jakim się ukazał Piątaczek zdumionemu Robinsonowi.

Jokohama jest ogniskiem europejskiej dyplomacji. Dotychczas tylko poselstwa: rosyjskie, angielskie i niemieckie przeniosły się do Tokjo. Jest to swojego rodzaju znak zaufania względem Japończyków, albowiem jeszcze bardzo niedawno, jak pobyt Europejczyków w Japonji uważanym był za rzecz tak niebezpieczną, że cały pułk żołnierzy francuskich czuwał nad bezpieczeństwem europejskich handlarzy.

Już to, w ogóle mówiąc, przesławne „interesy“ Europejczyków ochraniane są na dalekim Wschodzie w sposób graniczący ze śmiesznością. Nie mówiąc już nic o srogich eskadrach marynarki wojennej, bez ustanku zaglądających od portu do portu — i napędzających wielkiego strachu nie tyle krajowcom, ile własnym swym konsulom, obowiązanym poświadczać ciągle fantastyczne rachunki dowódzców i rewizorów — wszystkie państwa europejskie mają tam oprócz tego licznych dyplomatów, utrzymywanych jedynie w celu protegowania swoich przemysłowców. Belgja naprzykład, trzyma w Jokohamie posła i jeneralnego konsula, pomimo, że mieszka tam literalnie *jeden* tylko Belgijczyk! Fakt ten posłużył miejscowemu humorystycznemu pisemku jako temat do karykatury, przedstawiającej „człowieka najlepiej protegowanego na całej kuli ziemskiej.“

Oprócz wspomnianego humorystycznego pisma Japan-Punch, wydawanego przez pana Wirghama, dzielnego karykaturzystę, wychodzi nadto w Jokohamie, w której zaledwie 1400 Anglików i Amerykanów przebywa, jeszcze kilka pism innych i to dość znacznych. Anglicy wraz z Amerykaninami posiadają tam trzy pisma codzienne: *The Japan Daily Herold, The Japon Gazette, Tokhio Times* i jedno tygodniowe, bardzo przyzwoite tak z pozoru jako i treści: *Japan Mail.* Francuzi mają dwa dzienniki, tj. pisma codzienne: dawniejsze, organ klerykalny: *L'echo du Japon*, i nowszy *Le courrier du Japon*, ducha republikańskiego; każde z tych dwóch pism liczy po 75 prenumeratorów i w ciągłej pozostają kłótni okropnej: nie ma dnia, ażeby jedno drugiemu nie wytykało glupoty i nikczemności wzajemnej.

Angielskie dzienniki przeciwnie; postępują z godnością. Oprócz dzienników jokohamskich, mają oni jeszcze swe pisma i w innych miejscach: w Nagasaki wychodzi *Rising sun and Nagasaki express,* a w Kobe *Hiogo News.* Wszystkie wyliczone powyżej dzienniki bronią na zabój interesów europejskich, a z Japończykami obchodzą się z pobłażliwą pogardą. Utrzymują się z drukarni, sporządzając bilety wizytowe, etykiety butelkowe i tympodobne drobiazgi, a a wreszcie z niebardzo przyzwoitych sprawek, o których już mówiłem, opisując prasę w chińskim Szangaju.

To ostatnie zresztą źródło dochodów redakcyjnych, wkrótce może się wyczerpać, albowiem handel Jokohamy coraz bardziej upada. Przywóz, na który się składają przeważnie bawełniana przędza i rozmaite bawełniane i wełniane wyroby, a dalej cukier i nafta, sięga $16\frac{1}{2}$ miljonów dolarów. Wywóz w roku 1879 wynosił około 17 miljonów dolarów, a głównemi produktami onego były: jedwab w rozmaitych przetworach (surowego 19.935 „kip“), herbata japońska (21,884 962 funtów) i w niewielkiej ilości żyto, pszenica, miedź i tytoń. Porównywając cyfry przywozu i wywozu, zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że się wzajemnie równoważą, ale z tego nie można jeszcze wnioskować o prawdziwym stanie rzeczy. Zysku prawie ztąd nie ma, i panowie rezydenci europejscy są w rozpaczy. Towary przywożone niełatwo się zbywają i leżą sobie spokojnie na składach, i to pomimo cła więcej niż umiarkowanego; co się zaś tyczy towarów wywożonych, to te z dnia na dzień drożeją, z powodu upadku kursu pieniężnego, a kurs nie może nie spadać tam, gdzie wywóz kruszcu ciągle przewyższa przywóz.

W wspomnionym 1879 roku wywieziono z Japonji srebra i złota za 13,422,727 dolarów, a przywieziono do Japonji tylko za 6,203,142. Handel miejscowy popadł w stagnację i dzienniki słusznie prorokują zły koniec podobnie nienormalnemu stanowi rzeczy, tem bardziej, że Chińczycy poczęli już przybywać całemi tłumami i wypierać Europejczyków zewsząd.

Życie w Jokohamie dość nudne. Spacer powozem lub jachtem na morzu — jeśli kto powóz lub jacht posiada — klub, w którym główną zabawę stanowi patrzenie przez perspektywę, ażali gdzie nie pokaże się na morzu jaki przybywający okręt nowy, wyścigi, a nareszcie rzadkie koncerta zabłąkanego artysty — oto i cała litanja rozrywek. Pozostaje kuchnia, ale i tem nie sposób długo się delektować; konserwy i znowu konserwy, konserwy bez końca — rzecz arcyniesmaczna. Poczta przychodzi raz tylko na tydzień; bardzo rzadko zdarza się, że przyjdzie dwa razy. Że zaś przychodzi w drodze morskiej, przychodzi więc bardzo nieregularnie, szczególnie z San-Francisko. Nie zaszkodzi dodać, że w Jokohamie Europejczycy zwykle prorokują, kiedy poczta nadejdzie, i bardzo trafnie zgadują.

Po raz pierwszy przybyłym do Jokohamy zalecają zwykle dawniejsi, jako najlepszą rozrywkę, przejażdżkę do Jankiro. Jest to dzielnica niewielkiego poblizkiego miasteczka Kanahawy, połączonego z Jokohamą doskonałą szosą. Kanahawa wzbudza w marynarzach europejskich nader słodkie wspomnienia. I Jokohama i Kanahawa są to, właściwie mówiąc, jedne z licznych jakoby przedmieść Tokjo. Tu nadzwyczajnie trudno powiedzieć, gdzie kończy się jedna wieś lub miasto, a zaczyna się drugie, do takiego stopnia jest gęsto zasiedlone całe wybrzeże zatoki Jeddackiej.

Jeśli gdzie rozpusta Wschodu doszła do największych rozmiarów, to z pewnością w Jankiro. Obie strony szerokiej głównej ulicy, zasiane herbaciarniami i „joczywarami“. Każdy bez wyjątku dom, oświecony na zewnątrz mnóstwem papierowych latarni. Domy piątrowe; na parterze ścianka frontowa oddzieloną jest od ulicy

lekką kratą, po za którą usadowiły się na estradzie „dżoro“, tj. piękności japońskie w różnokolorowych kostiumach, narumienione, uczesane ślicznie, z szylkretowemi i innemi ozdobami we włosach. Na ulicy ruch ciągły. Młodzież ciśnie się do kraty, rozmawia ze znajomemi sobie dżoro itd.; na piętrze słychać śpiew i dźwięki chamesynów. Ogólne wrażenie, jakie czyni to „publiczne“ miasto, jest nader oryginalnem.

Jankiro powstało w roku 1861 z inicjatywy przezornego rządu japońskiego, który podówczas rządził się jeszcze tradycjami dobrych dawnych czasów. Dziś rząd z pewnością wybudowałby tam muzeum. Pan Weniukow w dziele swem: „Rzut oka na archipelag japoński“ — które to dzieło, nawiasem mówiąc, jest jednem z lepszych o tym dziwnym kraju, pomimo że już nieco przestarzałe — opowiada, że gdy dzielnica, o której mówimy, została już zaopatrzoną w 900 mieszkanek, panowie konsulowie odebrali od rządu japońskiego zaproszenie na dziwnych wachlarzach, na których był najprzód plan całego Jankiro *à vol d'oiseau*, a u dołu stał następujący podpis: „Miejsce to przeznaczone dla przyjemności cudzoziemców.“

Do Kanahawy można się także dostać za pomocą drogi żelaznej; jest ona pierwszą stacją mikroskopijnej kolei, łączącej od roku 1872 Jokohamę z Tokjo. Kolej ta podobną jest zupełnie do Kjoto; też same na niej porządki, tak samo drogo kosztuje: 24 miljony franków za 26 kilometrów, i to po miejscowości najzupełniej równej. Zauważałem na niej jedną tylko rzecz dobrą, której nie widać na kolejach europejskich: na każdej stacji, w pokojach pasażerskich znajdują się wszystkie główniejsze dzienniki do bezpłatnego użytku podróżnych.

Tokjo, czyli po dawnemu Jeddo, wydaje się olbrzymiem miastem, pomimo, że liczy tylko pół miljona mieszkańców. Wielkość ta ztąd pochodzi, że owe półmiljona mieszkają w 178,000 domach, nie licząc 4000 będących własnością rządową; przecięciowo wypada mniej aniżeli trzech mieszkańców na jeden dom. Pojąć łatwo, że podobne mnóstwo zabudowań, chociażby pudełkowych rozmiarów, niemałej wymaga przestrzeni. Okoliczność, że cytadela, t. j. zamek, Siro, zbudowany jest w samym środku miasta, przyczyniła się niemało do powiększenia jego przestrzeni. Długość wałów zamkowych, wyłożonych na zewnątrz kamieniem, tak samo jak i rów, otaczający zamek, wynosi sześć kilometrów. Wewnątrz Siro wznosi się tymczasowy pałac Mikada, a po pod wałami, od strony zewnętrznej, bieży szeroką wstęgą plac zwany Soto-siro. Większa część placu tego zajmują „jaszki“; są to pałace byłych książąt udzielnych. Szogunowie zmuszali każdego takiego księcia, ażeby chociaż tylko przez pół roku przebywał w stolicy; a że książęta przyjeżdżali zwykle ze świtą, składającą się nieraz z kilku tysięcy szlachty, to każdy taki pałac „jaszka“ zamieniał się w ogromny folwark z maleńkich domków złożony, otoczony parkanem. Obecnie wszystkie te „jaszki“ albo stoją pustkami, albo zajęte zostały na koszary, ministerstwa, prefektury, muzea i tym podobne rządowe zakłady.

Na ministerstwach nie zbywa w Tokjo. Oprócz ministerstw: spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych, finansów, wojny, marynarki, sprawiedliwości, oświaty i robót publicznych, nie braknie nawet ministerstwa „Kaj-Takuszo“, tj. kolonji! Pomiędzy innemi obowiązkami, włożono na to ministerstwo zasiedlanie wyspy Jeso i urzędnicy japońscy okazali się niemniej mądrymi od europejskich. Podzielili oni na mapie wyspę na gubernje, oznaczyli miejsca dla miast pierwszorzędnych i drugorzędnych; wykopali kanał, który nic nie łączy; w pośród głuchej puszczy, z dala od wszelkich komunikacyj wystawili stolicę, ustanowili mnóstwo posad dyrektorów, ściągnęli wyznaczeniem olbrzymich pensyj cały legion urzędników, nawet z Ameryki — i wielce się zdziwili, gdy literalnie ani jeden nie znalazł się kolonista z chęcią osiedlenia się na wyspie. Zabawka ta kosztowała 48 miljonów franków.

Na szczęście w Soto-siro rosną nietylko same „kwiatki“ miłego biurokratyzmu. Jest tam naprawdę coś bardzo pięknego, a tem coś bardzo pięknem jest prześliczny park Uenno, istne arcydzieło japońskiej sztuki ogrodniczej. Pan Grygorjew, profesor botaniki, z którym zwiedzałem park Uenno, nie mógł się dość nauwielbiać przepysznych egzemplarzów japońskiej flory. Znakomitą jest szczególnie aleja olbrzymich cyprysów. Park rozłożył się na pochyłości wzgórza znacznego; widok z niego na miasto zachwycający. Kontrast ciszy i spokoju, panujących w parku, z oddalonym gwarem olbrzymiego mrówiska, jakiem jest Tokjo, pomimowolnie uderza każdego. W parku mnóstwo kolumn, urn, różnych upiększeń z granitu wysadzanego bronzami, a nareszcie i ruin świątyń, zburzonych podczas powstania w roku 1868. Cisza pięknego tego parku pobudza do marzenia; człowiek bezwiednie w nie wpada i dobrze mu z niem, lecz nie na długo. Licho i tu naniosło budki z selcerską wodą i różnemi limoniadami „gazeuses“, a kocie dźwięki kapeli wojskowej, wygrywającej jakiegoś marsza z madame „Angot“, są w stanie wyprowadzić z cierpliwości najcierpliwszego człowieka.

Wielki cmentarz ostatniej dynastji szogunów, sprawia wrażenie, które nie tak łatwo usunąć. Jest to cały szereg przepysznych świątyń, otoczonych dziedzińcami starannie wybrukowanymi i upiększonymi arcydziełami rzeźbiarskiej sztuki japońskiej. Za świątyniami, w których pełno drogocennych przedmiotów, a które byłyby w Europie z pewnością oddawna rozkradzione w przeciągu jednej nocy, tak leżą dostępne dla każdego, bez żadnego schowania — ciągnie się wśród ślicznych wielkich drzew, cały szereg maleńkich dziedzińczyków z mauzoleami zmarłych członków dynastji szogunów. Ostatni grobowiec zawiera prochy ciotki panującego Mikady. Świątynie są wszystkie drewniane, ebficie upiększone wewnątrz rzeźbą i pozłotą; grobowce zaś i parkany dziedzińców z granitu i bronzu. Wszyskie te rzeźby i odlewy, tak w świątyniach jako też na grobowcach lub murach, przedstawiające ptaków, krzewy i rośliny, odznaczają się wielką dokładnością i prawdą. P Grygorjew powiada, że nawet na najstarożytniejszych pomnikach, dojść można z wielką łatwością do jakiego gatunku należą krzewy i kwiaty wykute z granitu lub odlane z bronzu. Artystycznem wykończeniem celują przedewszystkiem wrota. Niektóre z nich, należące do najpiękniejszych, były wywiezione z Koreji po pokonaniu jej przez Japończyków.

Nieurzędowa, że tak powiem, część Tokjo, wygląda tak samo jak i inne miasta których już opisał: Kjota, Osaka i Nagasaki. Nic wielkiego i przypominającego stolicę a tylko ulice bez końca, zabudowane na pół drewnianemi, a na pół papierowemi domkami, stanowiącemi zarazem i mieszkania i sklepy. Wyjątek stanowi jedna tylko ulica Dżyn-ża, zabudowana na sposób europejski, dwoma rzędami murowanych, jednopiętrowych kamienic. Wygląda ona dość mizernie, wcale nie po stołecznemu, a prowadzi do dworca kolei żelaznej. Ma ona i latarnie po bokach i według wszelkiego prawdopodobieństwa, japoński cywilizator z dumą spogląda na tę swoją Dżyn-ża, i ani się domyśla, że jest ona tylko niesmaczną parodją ulic paryskich. Tak samo jak wszystkie inne miasta japońskie, Tokjo przerżnięte jest mnóstwem kanałów; ułatwiają one okolicznym mieszkańcom dostarczanie miastu zapasów żywności i drzewa budulcowego, ażeby zaś dżonki mogły z łatwością przepływać po pod mostami, te ostatnie wszystkie są wygięte do góry. Zresztą nie brak już mostów i europejskiej konstrukcji.

Pierwszą wizytę złożyłem, naturalnie posłowi rossyjskiemu. Pałac poselstwa, z oficynami dla pomieszczenia kancelarji różnych, stoi wśród pięknego ogrodu; pałac wcale piękny z umeblowaniem zbytkowem. Pan Karol Wasiljewicz Struve, syn znakomitego astronoma, znany jest turystom, którzy się interesują sprawami dalekiego Wschodu. Wpierw nim został posłem w Japonji, bawił on przez czas dłuższy w Azji Środkowej; złapał go raz podejrzliwy Azjata, emir bucharski, i przez całe sześć miesięcy trzymał w ciężkiej niewoli; ledwie że udało się go ztamtąd wyciągnąć. Japonję pan Struve zna jak swoje pięć palców, i rad służy każdemu informacjami, ktokolwiek się tylko uda do niego. Żonaty z panią Marją Mikołajówną z domu Anienków; nie potrzebuję mówić. że pani odznacza się równą jak jej mąż gościnnością i rada widzieć przybysza z Zachodu. Ale zdarza się to jej nie często; dotąd tylko nader nieznaczna ilość Rosjan „nieurzędowych“, osiedla się w tym kraju i życie pani posłowej w szczupłem kółku europejskiem, nie należy do bardzo wesołych i z tego jeszcze powodu, że dygnitarze japońscy, z bardzo a bardzo małym wyjątkiem, nie posiadają języków europejskich, któremi można byłoby prowadzić z nimi konwersację. Dodajcie do tego gorący a zarazem wilgotny klimat, a będziecie mieli pojęcie o przyjemnościach mieszkania przez czas dłuższy w Tokjo. Jest ono nudne w całem znaczeniu tego wyrazu.

Dzięki zręcznemu postępowaniu pana Struve, a wielkoświatowemu taktowi małżonki jego, położenie poselstwa rosyjskiego w Japonji odpowiedniem jest godności kraju, reprezentowanego przez wspomnianego posła, co wcale nie jest zwykłem. jak wiemy zjawiskiem; poselstwa bowiem rosyjskie gdzieindziej mają nieraz w oczach krajowców bardzo podrzędne znaczenie. Wprawdzie zadanie pana Struvego ułatwia niemało ta okoliczność, że Japończycy, widząc, że znaczenie Rosji na brzegach Oceanu Spokojnego może tylko coraz się zwiększać, sami nadskakują jak mogą i panu posłowi i pani posłowej.

Po złożeniu wizyty posłowi, udałem się na zwiedzenie duchownej misji prawosławnej, istniejącej od dawna w Tokjo, a przed kilku laty wzmocnionej dodaniem osobnego dla Japonji biskupa prawosławnego. Biskupem mianowany został O. Mikołaj, były naczelnik tejże misji, cieszący się tu wielką popularnością a znany Japończykom pod nazwą Mikołaj-Sana.

Nie zastałem szanownego „diejatiela“, bo jeszcze nie był wrócił z Rosji; wyręczyli go przy mnie dwaj najbliżsi jego pomocnicy; jeromonach O. Anatoljusz wraz z O. Włodzimierzem, chętnie pokazując swój zakład ze wszelkimi szczegółami.

Dom, w którym się mieści misja, stanął staraniem jakiegoś architekta, samouczka, w stylu nieznanym na świecie. Stanął murowany, a wewnętrzne jego urządzenie jest na pół rosyjskie a na pół japońskie. Znajduje się w nim niewielka cerkiew, pomieszkania dla księży i urzędników misji, a dalej szkoła na sposób seminarjów prawosławnych, służąca do kształcenia rodowitych Japończyków na przyszłych katechetów, księży i djakonów. Program jej naukowy jest tak samo wielce różnobarwny, jak i w seminarjach. Czego tu nie ma?! I homiletyka, i geometrja, i patrystyka, i fizyka i mnóstwo innych rzeczy w tym rodzaju — wszystko na kupę zwalone. Wszystkich uczniów w zakładach jest 52; uczą się dość dobrze, o tyle, naturalnie dobrze, o ile potrafią sami nauczyciele wykładać w języku japońskim. Dla ulżenia zresztą panom profesorom, wykłady po większej części odbywają się w języku rosyjskim. W czasie moich odwiedzin kazano uczniom na próbę czytać historję pana Iłowajskiego; udało się dość dobrze, ale ze szczególniejszym akcentem japońskim. Stół i mieszkanie uczniowie mają w seminarjum; kuchnia japońska.

(Dokończenie nastąpi.)

„LE SOTTISIER“

nowo odkryte dzieło Woltera.

Nie zawsze jest korzystnem dla sławy wielkiego pisarza, jeżeli zbyt gorliwi wielbiciele jego talentu odgrzebują najdrobniejsze pozostałe po nim rękopisma i oddają do druku całkowicie, ze wszystkiemi błędami pisowni.

Wprawdzie ogłoszenie takich utworów uzupełnia obraz literackiej działalności autora i daje nam możność poznać go w szlafrokowem zaniedbaniu; bo znaną jest rzeczą, że poufne pamiętniki kamerdynera znakomitej osoby przeplatane autentycznemi korespondencjami jego pana, rzucają wiele światła na jego historyczną działalność. Z drugiej strony, wielkości sięgające głową do nieba, maleją, a niekiedy dochodzą do miary zwykłych ludzi i nie jesteśmy już zmuszeni ustawicznie patrzeć w górę, gdy mamy do czynienia z niemi i z płodami ich umysłu.

Dzieło Woltera, które się świeżo ukazało w Paryżu, uważane z tego podwójnego punktu widzenia, może budzić pewne zajęcie. Nosi tytuł: „Le sottisier“ czyli zbiór żartów. Jonaust, księgarz bibljofilów wydał je artystycznie w bardzo małej liczbie egzemplarzy z przedmową napisaną przez Léonzona le Duc.

Rękopism znajduje się w Petersburgu, w liczbie dzieł bibljoteki Woltera, którą Katarzyna II nabyła w 1778 roku przez pośrednictwo Grimma od pani Denis. Pisany jest od początku do końca ręką Woltera. Więcej niż przed trzydziestu laty, Léonzon le Duc, mający wówczas misję literacką w Rosji, chciał zrobić kopię tego rękopismu. Po długich prośbach Léonzona le Duc, minister Uwarow pozwolił mu nakoniec przejrzeć ośmnaście portfeli zawierających rękopismy Woltera. Francuski badacz mógł tylko tyle skorzystać z przeczytania „Sottisier,“ ile zdołał zapamiętać. Powróciwszy do mieszkania zanotował na prędce te miejsca, które zrobiły nań największe wrażenie, i najwięcej zajęły i opublikował; tym sposobem podrażnił tylko ciekawość, lecz jej nie zaspokoił.

Pomimo to książka nie miała pozostać na zawsze nieznaną. Ktoś ją przekopiował, do tego nie kto inny tylko hrabia Rostopczyn, który nienawidził Woltera; ten sam, który z prawdziwym patrjotyzmem podpalił Moskwę, aby wypędzić Nepoleona z jej walących się murów. Na pierwszej stronicy napisał własnoręcznie następujące objaśniające wyrazy: „Jeżeli ktokolwiek zechce drukować ten rękopism, powinien go zatytułować „Wolter w szlafroku;“ aby mu nadać wartość, musiałby do każdego wiersza porobić dopisy, któreby wystawiły we właściwem świetle bezbożność Woltera, jego głupstwa (niaiseries), jego nieuctwo, prostotę dzieciństwa, nieobyczajność, brak prawdziwej filozofji i nakoniec łatwowierność. Jestem wewnętrznie przekonany — decyduje dalej Rostopczyn — że Wolter pozostawiony samemu sobie, nie byłby w stanie napisać ani jednej stronicy zdatnej do druku.“ Zarzucał mu, że nie zna ortografji, i że każe poprawiać sekretarzom swe błędy stylowe. „Pomimo to — prawi dalej ekscentryczny rosyjski generał — ten nicpoń „le gredin“ posiadał wiele dowcipu, lecz ta książka bynajmniej tego nie dowodzi.“

Co do ostatniego twierdzenia, Rostopczyn nie zupełnie się mylił. Książka zawiera w rzeczy samej pstrą mięszaninę notatek historycznych, statystycznych uwag, ulotnych i lekkomyślnych piosnek, to znów filozoficznych rozmyślań a wśród tego wszystkiego wiele rzeczy pospolitych, nieznaczących, wiele plew. Pośród nich natrafiają się i ziarna, owoc prawdziwie wolterowskiego dowcipu, esprit gaulois, podobnego do szlifowanej i wyostrzonej toledańskiej klingi, zmuszającego do uśmiechu nawet wtedy gdy obraża!

Widocznie „Sottisier“ tworzył rodzaj składu dla wszystkich pomysłów zrodzonych pod wpływem wesołego lub złego humoru, jakie przychodziły Wolterowi do głowy, i jakie później, nie wiele troszcząc się o formę, narzucał na papier. Nawet od Woltera nie można żądać żeby miał ciągle wyłącznie nowe i dowcipne myśli. Niektóre więc tylko z tych jakie spotykamy w tej książce dają poznać lwie pazury, inne myśli, które wkłada w usta prostodusznym poprzednikom Jocriss'a lub Calino są wstanie pobudzić nas zaledwie do chwilowego uśmiechu.

O jednym z takich prostaczków (benêt) opowiada, że gdy ukradziono mu worek, tłómaczył się że nie spostrzegł tego, bo miał katar.

Tenże powiedział: „Jestem o rok starszy od niego, za rok więc będziemy w jednym wieku.“

A w innem miejscu: „Jeżeli się ożenię z moją ciotką, to będę własnym stryjaszkiem.“

„Ten turkus jest tak piękny i tak dobry, że gdybym rzucił się z trzeciego piętra na ulicę i kark skręcił, to turkusowi nicby się nie stało.“

„Tu w nocnej porze przenika ze wszystkich stron światło dzienne“

Jak widzimy „Sottisier“ mógłby być wcale niedrukowanym dla takich dowcipów i potomność niewieleby na tem straciła. Lecz obok tego napotykamy i kruszki chleba przypominające nam stół obficie zastawiony strawą umysłową, do jakiego Wolter zaprosił swe stulecie. W następnych ironicznych wyrazach np., które zamieścił w „kazaniu do pcheł“, przeczuwany autora „Candide“ i „Mikromagas.“

„Moje kochane pchły, jesteście ulubionem dziełem Boga, i cały świat został dla was stworzony. Bóg stworzył człowieka, aby wam służył do pożywienia, słońce — aby wam przyświecało, niebo — aby rozweselało wasze oczy i t. d.“

Dlaczegożby pchły nie miały uwierzyć tym wyrazom? Czyż ludzie nie czynią tak samo?

I inne uwagi mają przynajmniej w przybliżeniu prawdziwą cechę Woltera.

„Pedanci podobni są do tak długo wielbionej głowy Jowisza Olimpijskiego, w której znaleziono tylko szczurów i pajęczynę.

„Jest wiele czcigodnych ludzi, którzy podpaliliby dom, gdyby nie mieli innego środka do ugotowania sobie rosołu.“

Biczując dumę kastylską napisał:

„W Saragosie czytamy następujący napis grobowy: „Tu leży pochowany Cabeza, śpiewak króla, mojego pana. Gdy przybył do raju aniołowie zaczęli śpiewać. „Cicho bądźcie łotry“ — rzekł Bóg — niech śpiewa Cabeza, śpiewak króla, mojego pana!“

„Rodzimy się nieświadomymi; błąd wessany z mlekiem macierzyńskiem jest dla nas tem droższy. Niańka jest początkiem, a ksiądz końcem.“

„Myśli autora powinny przenikać do naszego umysłu tak jak światło do oczu, sprawiając przyjemność i nieutrudzając; a metafory (przenośnie) powinny być podobne do szkła, które przykrywając przedmioty, pozwala ich jednak rozpoznać.“

„Tylko słabi dopuszczają się przestępstw; potężni i szczęśliwi nie potrzebują tego.“

„Zużyte myśli są gałganami Parnasu; a obecnie jest bardzo mało nowych materyj.“

„Państwa, prawa, wszystko jest łataniną. Wszyscy szukamy szczęścia niewiedząc gdzie go znaleść, jak pijani szukający domu z niepewną świadomością, że go posiadają.“

„Ryszard Cromwell mówił: „Urodziłem się w czasie, w którym niecierpiano protektora, a mój ojciec w czasie, w którym niecierpiano królów.“

„Abbe Gravina witał zawsze konie mówiąc, winniśmy im wielką wdzięczność, bo gdyby ich nie było, musielibyśmy sami ciągnąć wozy królewskie.“

„Czemu tak szydzą z religji? z moralności nigdy nikt nie szydzi.“

Jest zresztą wiele niedających się przetłómaczyć kalemburów, do jakich język francuski tak się nadaje, np. następujący:

„Ktoś podarował księdzu białego i czarnego konia i mówił, że to jest czyn dobry (czyn srokaty lub pstry — (une oeuvre pie). „Sottisier“ obfituje w tego rodzaju kalembury, nazwane przez Wiktora Hugo ulotnemi śmieciami umysłu, jak również w dowcipy dwuznaczne, które są zbyt przeźroczystemi aby mogły być pomieszczone w wypisach dla młodych dziewcząt.

W ogóle nie było koniecznej potrzeby wy-

dobywać zapomnianego rękopismu „Sottisier“ z pyłu petersburskiej bibljoteki i powoływać go do życia, bo nie wiele się przyczyni do powiększenia sławy Woltera. Najciekawszem w tym zbiorze jest, że ułożony został przez najbardziej wpływowego z francuskich pisarzy ośmnastego wieku. Ta jedna okoliczność wystarczy, aby mu zapewnić znaczną liczbę przyjaciół.

TOAST
WINCENTEGO POLA

W pierwszą rocznicę powstania 1830 roku.

Bracia! Rocznica — więc po zwyczaju,
Niech każdy toastem spłaci!
Ten pierwszy puhar święcim dla kraju!
Drugi dla ległych współbraci!

A teraz zdrowie moskiewskich branek!
A wiecież zdrowie to czyje?
Zdrowie siostr naszych, matek, kochanek...
Zapewne każdy wypije!

A teraz basta! basta panowie!
Niech każdy w miejscu usiędzie;
Dajcie gitarę! — Wino już w głowie,
A więc i piosnka wnet będzie.

O nie zginęła jeszcze ojczyzna,
Póki niewiasty tam czują!
Bo z ich to serca płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują.

Jeszcze wykarmią one w zaciszy,
Grono olbrzymiej młodzieży,
Od nich pacholę o nas usłyszy
I jak my w wolność uwierzy.

Wstanie mąż wielki z tych polskich kości,
Wielki, jako sny za młodu!
Z uczuciem krzywdy swego narodu,
A z mieczem całej ludzkości!

A jako niegdyś potopem świata
Ludzkość zalały łzy Boże,
Tak i on mieczem świętego kata
Na ziemię puści krwi morze.

A nad tem morzem, nad tą posoką,
Korab nasz polski wypłynie,
I *białe ptaszę* wzleci wysoko,
I poda różczkę drużynie.

Otworem staną lochy podziemne,
Gdzie w więzach butwiały kości,
I będą nasze więzienia ciemne
Miejscem odpustu ludzkości.

Pielgrzymką do nich pójdą narody,
Ogniwa kajdan rozbiorą,
I jak relikwie, na cześć swobody,
Całować będą z pokorą.

Kloc ów skrwawiony, na którym głowy
Świętych padały z rąk kata,
Będzie ogniskiem świątyni nowej,
Ołtarzem nowego świata!

Z tej ziemi zniknąą po wszystkie wieki,
Ludzkości ofiary krwawe;
Bo zbrodnie spłyną krwawemi rzeki,
I rody Carów niesławe.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

URYWEK Z PAMIĘTNIKA
HENRYKA BOGDAŃSKIEGO.

Ze «Zbioru pamiętników do historji powstania z r. 1830—1831», ułożonego staraniem Komisji wydawnictw pamiątkowych, na uczczenie pięćdziesięcioletniej rocznicy listopadowej.

Podczas pobytu naszego w Sandomierzu przyprowadzono do miasta pospolite ruszenie z pobliskich okolic. Było połączonych kilka parafij, razem około tysiąca ludzi, bez mundurów, uzbrojonych w kosy lub w piki; tylko komendanci i niższe stopnie miały mundury. Było to przed południem. Zaraz po ich przybyciu rozeszła się wieść po mieście, że jedna lub dwie parafje nie chciały w miejscu złożyć przepisanej przysięgi; połączono je więc z innemi parafjami, aby w ten sposób doprowadzić do dopełnienia przepisu, lecz gdy to nie pomogło, przyprowadzono do Sandomierza, aby dla większego wrażenia przemówił do nich w kościele katedralnym pewien kanonik, słynny z ujmowania sobie włościan darem wymowy. Zabębniono na nas, stanęliśmy wszyscy pod bronią i dwie nasze kompanje, pierwszą i drugą, przeznaczono do wnętrza kościoła, a trzy miały stanąć przy wejściu. Dwom pierwszym dano instrukcję, aby oficerowie i żołnierze w kościele baczne zwracali oko na każdy ruch włościan i gdyby się tego okazała potrzeba na komendę — już nie pamiętam, jaką — wyparli ich z kościoła. Pozorem zaś udania się naszego do kościoła była tak zwana parada wojskowa, dla nadania większej uroczystości przysiędze, jaką miano odebrać.

Wszedłszy do kościoła katedralnego i wyciągnąwszy dwie linje wzdłuż kościoła koło ławek, spuściliśmy do nogi broń; trzy inne kompanje stanęły za kościołem, frontem do wielkich drzwi obrócone. Wprowadzono potem w wolne miejsce między nasze linje parafje pospolitego ruszenia, które odmówiły złożenia przysięgi; resztę zostawiono za miastem. Widziałem stojącego naprzeciwko kazalnicy i opartego o ołtarz Jana Ledóchowskiego, jednego z posłów, komendanta pospolitego ruszenia województwa sandomierskiego, w odpowiednim mundurze, kilku oficerów sztabowych i Kaczkowskiego, jenerała-lekarza armji polskiej. Po odprawieniu śpiewanej mszy z towarzyszeniem organów, wszedł kanonik na kazalnicę i z zapałem przemówił do włościan ich sposobem mówienia, o wrogach naszych Moskalach, którzy nam zagrażają wydarciem naszego narodowego bytu, religji i języka, a malując żywemi barwami nieszczęścia, jakie z przewagi i rozgospodarowania się u nas Moskwy wynikną, wezwał ich do obrony ojczyzny i tego kawałka ziemi, który każdego z nich żywi — do zasłonięcia rodzin, wystawionych na zhańbienie, rozprószenie i nędzę od najezdników, chciwych cudzego mienia — i do chętnego zaciągania się w szeregi obrońców kraju. Następnie przedstawiał, że siła jest tylko w połączeniu wszystkich; a niechby tylko lud cały zechciał i tłumnie schwycił za broń, noga moskiewska nie uszłaby z ziemi polskiej i na zawsze bylibyśmy wolni od napaści i ciemięztwa naszych nieprzyjaciół. A jeżeli przy pomocy ludu uda nam się zgnieść najezdców, połączymy się znowu z naszymi braćmi Rusinami i Litwinami. Odmówiwszy potem modlitwę, wezwał Boga na pomoc i odczytał przepisaną rotę przysięgi, a wytłumaczywszy dokładnie i wyraźnie każdy jej ustęp, zażądał od obecnych włościan, aby każdy na znak wykonania tej przysięgi, podniósł rękę do góry i głośno wymówił swe imię chrzestne. Zapanowała cisza; żaden z włościan nie odezwał się i nie podniósł ręki. Kanonik poczekawszy chwilę, przemówił drugi raz, poczem odezwało się kilku: Jonek, Bartek, Sobek i t. d. i znowu było cicho. Wówczas wszedł Ledóchowski w środek włościan i przemówił serdecznie i w sposób nader wymowny, a kanonik po raz trzeci wezwał do przysięgi. Powstał wtenczas gwar, wskutek równoczesnego wymówienia wielu imion, ale widocznie nie wszyscy się odezwali, bo łatwo można było policzyć ręce podniesione i przekonać się, że było ich nierównie mniej, niż włościan zgromadzonych. Tymczasem przemówienia te tak zapaliły kilkunastu z ciekawości przybyłych do kościoła mieszkańców miasta, iż podnieśli ręce, wykrzyknęli swoje imiona i zaciągnęli się do pospolitego ruszenia, chociaż mieszczanie sandomierscy nie mieli jeszcze tego wezwania. Gdy gwar ten ustał i wszczął się ruch, znamionujący pewien niepokój, odezwał się donośnym głosem jeden z włościan „A pańszczyzna?... to my pójdziemy, a nasze żony i dzieci będą zabijać na pańskiem?! Ja tego dopuścić nie mogę, nie powiem imienia mojego i nie pójdę do pospolitego ruszenia!“ Powstał nowy gwar, w którem wyraźne słowa „Nie pójdę! pańszczyzna!“ odróżnić było można. Wówczas komenda, która te parafie przyprowadziła, kazała im wyjść z kościoła. Włościanie wyszli bez oporu i bez okazania jakiej niechęci, a nasze dwie kompanie udały się za nimi.

Za kościołem otoczyło ich naszych pięć kompanij. Gdy starszyzna spostrzegła, że włościanie żadnego oporu stawiać nie myślą, lecz przeciwnie bratają się, serdecznie i z uśmiechem z żołnierzami, pułkownik nasz Kwiatkowski rozwolnił porządek pierwszych trzech kompanij i polecił nam, abyśmy rozebrali pomiędzy siebie włościan, osobliwie tych, którzy się wzbraniali przysięgać i przemówili do nich po koleżeńsku, stosownie do obecnych okoliczności. Zrobiło się zamięszanie, potworzyły się gromadki, a w nich odezwały się głosy przemawiających, to włościan to żołnierzy. I ja przyłączyłem się do jednego z kółek w którem byli włościanie, którzy nie chcieli złożyć przysięgi. Na przemowę jednego z żołnierzy, Mazura i także włościanina, który chłopskim językiem, ale z zapałem, zagrzewał do walki z Moskwą — dał jeden z tych upornych włościan spokojną i dość długą odpowiedź, mniej

więcej w słowach następujących: „My nie lubimy Moskali, nie chcemy ich mieć u siebie, radzibyśmy, aby ich noga nie została u nas i nie postała nigdy, ale czyż nam włościanom lepiej będzie, gdy ich wypędzimy, lub zgnieciemy?... Jakeśmy byli w niewoli pańskiej dotąd, tak i później będziemy; nasza niedola nie zmieni się, gdy nawet teraz, wśród wojny, z chałup, z których gospodarze poszli, czy to do wojska, czy do pospolitego ruszenia, pędzi dwór żony i dzieci na pańszczyznę; a gdy kto odezwie się przeciw temu, dostaje w odpowiedzi tylko surowy rozkaz milczenia. Gdyby na czas wojny przynajmniej ci gospodarze byli wolni od pańszczyzny, z których chałup wzięto kogoś do wojska, a jeźliby gospodarz poległ, gdyby rodzina jego w pańszczyźnie jakiej ulgi doznała, tobyśmy wszyscy poszli; ale gdzież tam, na takie prośby otrzymywaliśmy zawsze i otrzymujemy odmowne odpowiedzi. Panom zapewne lepiej będzie, jak się pozbędą Moskali, dla tego niech się z nimi biją; my im z pewnością przeszkadzać nie będziemy, i będziemy się cieszyć, jak ich bodaj wszystkich wytłumią. Wielu włościan poszło z ochotą pod broń i pójdzie jeszcze, nawet z naszych parafij; my ich nie odmawiamy, owszem, niechaj idą; ale ja i wielu jeszcze naszych, nie pójdziemy i przysięgi składać nie będziemy". Podobnie odzywali się włościanie w każdem z tych kółek. Nie pomogły obietnice, że po wywalczeniu niepodległego bytu, niezawodnie panowie i Sejm uwolnią ich od poddaństwa i pańszczyzny i przyznają im własność posiadanych gruntów, bo będą potrzebowali narodowego wzmocnienia, aby znowu kiedy nie upaść; przekonali się bowiem, że naród tylko ze szlachty złożony, jest za słabym, aby się mógł oprzeć przeważnym siłom sąsiadów i wiedzą o tem, że nieprzyznanie praw obywatelskich włościanom było główną przyczyną zguby Polski. Śmiali się tylko włościanie z tych obietnic i krótko odpowiadali, że gdy ich pomocy panowie już potrzebować nie będą, okażą im znowu dawną surowość, a bodajby i gorzej z nimi się nie obchodzili, niż dotąd; bo pewnie bardzo mało się znajdzie takich, którzyby wzmocnienie narodu przekładali nad wielkie korzyści, jakie ciągną z poddaństwa i pańszczyzny. Gdy bowiem teraz, kiedy włościan koniecznie do ocalenia swojego potrzebują, tylko kilku panów znalazło się w Sejmie, którzy upominali się o zniesienie poddaństwa i pańszczyzny i o uwłaszczenie włościan — i sami w swoich dobrach zaraz to uskutecznili — a znaczna większość sejmowa oparła się temu i tylko w rządowych dobrach pozwoliła na małe ulgi dla włościan — bo te dobra nie ich kieszeni się tyczą — gdy więc teraz tak postępują, to pewnie, jak się pozbędą nieprzyjaciół, inaczej i lepiej postępować nie będą. Wieść o uwolnieniu włościan przez braci Antoniego i Władysława Ostrowskich, przez Szczanieckiego i jeszcze kilku, których po cały kraju głośno lud błogosławił, jakby błyskawicą rozeszła się po chatach wiejskich i tak wszystkich zainteresowała, że włościanie o sejmowych naradach w sprawie podaństwa i pańszczyzny prawie wszędzie dokładne mieli wiadomości.

Wypadek ten w Sandomierzu był podobno jedyny w całym kraju, a jest tem bardziej godny uwagi, że włościanie otwarcie tu upomnieli się o siebie, wyraźnie zażądali uwolnienia od poddaństwa i pańszczyzny, jakkolwiek tymczasowo, podczas trwania wojny, tylko małych ulg się domagali i spokojnie wyrzucali szlachcie niesprawiedliwość i niezrozumienie własnego interesu. Był to fakt niemałej doniosłości i szkoda wielka, że nie wydarzył się przynajmniej przed trzema miesiącami pierwej, gdyż odgłos jego przeszedłby całą Kongresówkę i wywołałby podobne objawy w innych miejscach i po różnych województwach, co zapewne opamiętałoby sejmujących i do innych doprowadziło postanowień w sprawie poddanych. W takim wypadku pomyślniejszy wziąłaby wojna obrót, bo Rząd i wodzowie, widząc cały naród w powstaniu i pod bronią, i najlepszym ożywiony duchem, działaliby śmielej i nie oglądaliby się na zawodną dyplomację, lecz bardziej zaufaliby własnym siłom. Wieść o wolności chłopów w Kongresówce udzieliłaby się szybko chłopom na Rusi i na Litwie i powstania tamtejsze, chociaż dość liczne, ale z samej prawie tylko szlachty złożone, a wobec przeważnego nieprzyjaciela bezsilne, wzmogłyby się w imponujący sposób przyłączeniem się włościan tamtejszych. Natenczas z powodzeniem zmierzylibyśmy się z tym strasznym dla Europy olbrzymem, a w dawnych granicach powstałaby nowa już Polska — bo nie wyłącznie szlachecka. Zaniedbano i odtrącono najpiękniejszą, a może jedyną sposobność, które to zaniedbanie odpłaciło się zaraz i odpłaca się dalej coraz większemi nieszczęściami.

Wypadek ten w Sandomierzu podobno nawet i do wiadomości Sejmu nie doszedł, bo wkrótce potem wszelka komunikacja między nami a Warszawą została przerwaną i nastąpiły katastrofy, które szybko do upadku doprowadziły nasze powstanie. Po tych wzajemnych wynurzeniach z włościanami powtórzyliśmy trafne nasze przysłowie: że kogo pan Bóg chce ukarać, temu pierwej rozum odbierze.

Te rozmowy byłyby się przedłużyły, do czego tak żołnierze jak i włościanie mieli ochotę, ale gdy starszyzna nasza spostrzegła, że przedstawienia włościan źle działają na wojsko, przerwała rozmowę uderzeniem w bębny, poczem kompanje stanęły zaraz w porządku. Do włościan odezwał się bezpośredni ich komendant, Ledóchowski, wzywając, aby się oddzielili ci, którzy przysięgli i chcą pójść do pospolitego ruszenia, od tych, którzy przysięgi nie złożyli. Rozdział ten nastąpił natychmiast i może ze dwie trzecie części chłopów stanęły po stronie odmawiających przysięgi, których inną stroną wyprowadzono z miasta i zaraz do domu odejść kazano; tamtych zaś złączono z resztą pospolitego ruszenia.

ŚLUB
PRZEZ TELEFON

OPOWIADANIE HUMORYSTYCZNE

MARKA TWAINA

(Dokończenie).

III.

Minęło dwa tygodnie. Ostatniemi dniami odwiedzał Alonza jakiś dżentelman z wyrazem na twarzy surowym i nabożnym. Rekomendował się jako pastor Hargrew z Cincinati i powiadał, że opuścił służbę kościelną wskutek słabego zdrowia; czemu jednak zaprzeczała jego zamaszysta figura i różowe policzki. Wynalazł on jakieś udoskonalenie telefonu i spodziewał się otrzymać znaczną sumę za sprzedaż przywileju na ten wynalazek.

— W teraźniejszych czasach — mówił pastor — każdy właściciel telefonu może go przyłożyć do drutu telegraficznego i podsłuchać, co mówią zupełnie obcy ludzie.

— Cóż z tego? — odparł Alonzo. — Przecież to nie przeszkadza tym, co rozmawiają, słyszeć się wzajemnie.

— Rozumie się — ciągnął dalej pastor — nie wiem tylko, czy przyjemnie narzeczonemu i narzeczonej naprzykład, jeżeli czułe ich wyznania podsłucha ktoś obcy.

Alonzo zadrżał.

— Tak, sir, wynalazek jest nieoceniony! — zawołał. — Proszę mi go sprzedać za jakąbądź cenę!

Lecz przyrząd wynaleziony przez pastora nie przybywał z Cincinati, nie wiadomo z jakich powodów. Alonzo ginął z niecierpliwości. Myśl, że słowa jego Rozanny, tchnące taką miłością, mogły być udziałem pierwszego lepszego, doprowadzała go do warjacji. Pastor przychodził do niego po kilka razy na dzień i pocieszał, zapewniając, że drogocenny przyrząd nadejdzie wkrótce.

Pewnego razu wynalazca przyszedł do Alonza i, zastukawszy, wszedł, bo drzwi nie były zamknięte. Twarz jego promieniała tryumfem, pobiegł prosto do telefonu.

Delikatne, słabe dźwięki ulubionego romansu Rozanny dawały się słyszeć w pokoju. Posłuchał kilka minut, a potem przemówił niecierpliwie, naśladując głos Alonza:

— Najdroższa?!

— Co, Alonzo?

— Proszę cię, nie śpiewaj już tego odwiecznego romansu. Spróbuj coś nowszego.

W tej chwili posłyszał pastor śpieszny chód Alonza i schował się, z piekielnym uśmiechem, za ciężkie aksamitne firanki u okna.

Wszedłszy do pokoju, Alonzo rzucił się prosto do telefonu.

— Miła Rozanno — rzekł on — zaśpiewajmy cokolwiek razem.

— Coś nowiutkiego? — zapytała z gorzkim sarkazmem.

— Tak, jeżeli sobie życzysz.

— Nie, śpiewaj już sam sobie.

Ostra taka odpowiedź zmartwiła młodzieńca.

— Rozanno! tyś dzisiaj nie w humorze!

— I pan nie bardzoś grzeczny dzisiaj, mister Fitz-Clarens!

— Mister Fitz-Clarens?! Cóżem ja powiedział niegrzecznego?

— Doprawdy! A może ja nie dosłyszałam i nie prosiłeś mię, abym nie śpiewała ulubionego romansu?

— Nigdym nie prosił o to.

— Pozwól mi pan zrobić uwagę, żeś prosił.

— Pozwól pani odpowiedzieć sobie, żem nigdy nie prosił.

— Dosyć, łaskawy panie, pan znowuś mię obraził. Nigdy tego nie daruję. Wszystko skończone między nami.

W tejże chwili dał się słyszeć płacz i Alonzo śpiesznie przemówił:

— O Rozanno! zaprzecz twoim słowom. Zapewniam cię, tu zaszła jakaś pomyłka. Nigdym nie mówił nic podobnego. Jakżeś mogła pomyśleć, że ja zdołam cię obrazić? Odpowiedz, Rozanno, odpowiedz!

Odpowiedzi nie było i z niknących dźwięków łkania Alonzo zrozumiał, że dziewczę odeszło od telefonu. Westchnął głęboko i wybiegł z pokojn.

— Poszukam mojej matki — myślał sobie — a ona przekona Rozannę, iż nie chciałem jej obrazić.

W minutę później pastor stał przy telefonie, oczekując czegoś z niecierpliwością.

Niedługo potrzebował czekać. Żałosny czuły głosik przemówił:

— Miły Alonzo, zawiniłam. Tyś nie mógł mnie tak okrótnie obrazić. Pewnie za ciebie mówił ktoś inny, naśladując sztucznie twój głos.

Pastor odpowiadał głosem Alonza:

— Pani powiedziałaś, że między nami wszystko skończone. Niech i tak będzie. Pogardzam skruchą pani.

I wyszedł z pokoju, tryumfując ze zwycięztwa.

W cztery godziny, Alonzo powrócił do domu wraz z matką, którą odszukał u jakiejś biednej rodziny. Oboje napróżno wołali niezliczoną liczbę razy: »Rozanno, Rozanno!« Nakoniec, gdy w San-Francisko zaszło słońce, a w Istporcie już od trzech i pół godzin nastała była noc, otrzymano odpowiedź, ale nie od młodej panienki, ale od ciotki Zuzanny.

— Tylko co wróciłam do domu. Zaczekajcie, ja zaraz ją odszukam.

Upłynęło dziesięć minut, a ciotka Zuzanna przemówiła trwożnie, wystraszonym głosem:

— Ona wyjechała. Wzięła z sobą wszystkie swoje rzeczy i powiedziała służącym, że wyjeżdża do innych znajomych. Na stole znalazłam taki bilecik:

»Wyjeżdżam, nie szukajcie mnie; serce me rozdarte, nie zobaczymy się już nigdy. Powiedzcie mu, że zawsze go będę wspominała, śpiewając mój biedny ulubiony romans, a obraźliwe słowa jego zapomnę.«

— Co to znaczy, Alonzo? Co się stało?

Alonzo zbladł, zrobił się zimny, jak trup. Matka śpiesznie podniosła firankę i otworzyła okno. Swieże powietrze dobroczynnie podziałało i Alonzo mógł opowiedzieć matce, co zaszło. Tymczasem podniosła ona z podłogi fotografję, na której paradowało: »Mister Sidney Algernon Burley, San-Francisko.«

— Nikczemnik! — zawołał Alonzo i wybiegł pędem na ulicę, w celu znalezienia i zmasakrowania fałszywego pastora.

Fotografja ta tłumaczyła wszystko, tem bardziej, że Rozanna z ironią opowiadała swemu narzeczonemu o wszystkich swych wielbicielach, a przytem zgadało się było i o talencie Burley'a naśladowania cudzego głosu.

IV.

W ciągu dwóch następnych miesięcy zaszło niemało wypadków. Rozanna nie powróciła do swojej babki w Portlandzie, a posłała jej tylko kopię liściku, zostawionego ciotce Zuzannie. Gdzie znajdowała się teraz biedna sierotka, jeżeli tylko nie umarła, było tajemnicą nieodgadnioną.

Przecież Alonzo nie tracil nadziei odszukania jej. Mówił on sobie:

— W chwili smutku będzie ona śpiewała swój ulubiony romans i odszukam ją takim sposobem.

W tym celu wziął on przenośny telefon, torbę podróżną z rzeczami i puścił się w podróż po wszystkich Stanach. W tym to czasie mieszkańcy odległych pustych okolic widywali często ze zdziwieniem, jak blady, wychudły człowiek wdrapywał się na słup telegraficzny, przykładał do drutu jakieś niewielkie pudełko, a do niego przykładał ucho. Posiedziawszy z godzinę na słupie, złaził i odchodził smutny i ponury. Czasami mniemano, że on jest wściekłym, i nawet strzelano do niego. Ale, nie zważając na otrzymane kontuzje i przestrzelone kulami ubranie, znosił on wszystko cierpliwie, powtarzając:

— Ach! gdybym mógł tylko usłyszeć jej ulubiony romans!

Nareszcie po upływie siedmiu tygodni jakieś osoby arcyludzkie schwytały go i posadziły do domu warjatów w New-Jorku. Nie skarżył się bo utracił całkiem siłę woli i wszelką nadzieję. Dyrektor domu obłąkanych zlitował się nad nim i, ulokowawszy go w swem własnem mieszkaniu, doglądał z wielką pieczołowitością.

Po upływie tygodnia chory powrócił już nieco do sił i wieczorem, leżąc na kanapie, przysłuchiwał się świstowi zimnego marcowego wiatru i ulicznemu hałasowi. Pokój był ciepły, jasny; na kominku palił się wesoło ogień, a na stołach stały pozapalane lampy. Alonzo ze smutnym uśmiechem rozmyślał o swym dziwnym losie, który go zawiódł do domu obłąkanych, dzięki nieszczęśliwej miłości. Wtem, doleciały do jego słuchu dalekie, ciche, lecz niewymownie czułe dźwięki. Krew bić mu przestała w żyłach. Powstrzymał oddech, zaczął się przysłuchiwać... Nareszcie zawołał:

— To ona!... to ona!... O, boskie dźwięki!

Zeskoczył z kanapy, pobiegł do okna i oderwawszy z niecierpliwości firankę, znalazł tam telefon. Przylgnął do niego ustami i przemówił:

— Dzięki Bogu! Odszukałem cię, moja Rozanno! Wszystko się wyjaśniło. Podły Burley nagadał ci grubiaństw, naśladując mój głos.

Przeszło kilka chwil gorączkowego oczekiwania, a potem delikatny głosik przemówił:

— Powtórz twe nieocenione słowa, Alonzo!

— Przysięgam ci Rozanno, że mówię prawdę. I mogę dać na to dowody.

— O! Alonzo! nie oddalaj się. Niech się przekonam, że jesteś ze mną. Powiedz, że my się już nigdy nie rozłączymy. O! szczęśliwa, błoga chwilo!

— Całe życie będziemy święcić tę niezrównaną chwilę.

— Rozumie się, Alonzo.

— Cztery minuty na siódmą wieczorem...

— Dwadzieścia trzy minuty na pierwszą rano...

— O Rozanno, gdzież jesteś?

— W Honolulu, na wyspach Sandwich.

— A ty gdzie?... w domu?

— Nie, jestem w New-Jorku, chory, u doktora.

Alonzo posłyszał słaby jęk, który musiał stracić swą siłę, przebiegłszy pięć tysięcy mil.

— Uspokój się. Zdrów jestem zupełnie od czasu, jak cię znalazłem.

— Okropnie mię nastraszyłeś, Alonzo.

— Naznacz dzień naszego ślubu, Rozanno.

Nastąpiło milczenie.

— Rumienię się, ale ze szczęścia — odpowiadał słaby, delikatny głosik.

— Czy chcesz wkrótce?

— Tak, prędko, dzisiaj, zaraz.

— Jakiś ty niecierpliwy. Ze mną tutaj tylko wujaszek, stary misjonarz, i jego żona, a ja chciałabym, aby twoja matka i ciotka Zuzanna...

— Nasza matka i nasza ciotka...

— Tak, tak, życzyłabym sobie, aby nasza matka i nasza ciotka były obecne na naszem weselu.

— Ja także życzyłbym sobie. Zatelegrafuj do ciotki Zuzanny. Kiedy ona może przyjechać do ciebie?

— Ósmego dnia, to jest 31. marca.

— Więc naznacz, Rozanno, nasz ślub na 1. kwietnia.

— Za nic w świecie.

— Cóż nas mogą obchodzić zabobonne głupstwa, kiedy tego dnia będziemy najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi.

— No dobrze! Niech będzie pierwszego kwietnia.

— A o której godzinie?

— Najlepiej zrana. Czy chcesz o ósmej godzinie?

— Każda godzina, w której zostaniesz moją będzie najszczęśliwszą w mojem życiu.

W pokoju dał się słyszeć jakiś nieokreślony dźwięk, niby echo dalekiego pocałunku. Poczem Rozanna wyrzekła:

— Przepraszam cię, miły Alonzo, muszę przyjąć interesanta.

Dziewczę wybiegło z pokoju do dużej sali i stanęło przy oknie, zkąd był prześliczny widok. Na lewo w oddali rozciągała się śliczna Nuanasska dolina, pokryta podzwrotnikowemi kwiatami, palmami kokosowemi i pomarańczowemi gajami;

*

tuż naprzeciw widać było piękne miasto, a na horyzoncie połyskiwały siwe fale oceanu.

Rozanna w białej, lekkiej sukience chłodziła wachlarzem zarumienioną twarzyczkę.

Po chwili we drzwiach ukazał się sir Algernon Burley w płóciennym płaszczu; chciał on pospiesznie zbliżyć się do dziewicy, lecz ta go zatrzymała:

— Czekam pana, jak przyrzekłam, — powiedziała ozięble: uwierzyłam wszystkim pańskim przysięgom i zgodziłam na oznaczenie dnia naszego ślubu. A więc będzie pierwszego kwietnia o ósmej godzinie zrana. Teraz możesz pan odejść.

— Całego życia nie wystarczy...

— Ani słowa. Nie chcę ani widzieć pana, ani mówić z nim, aż do wesela. Niech pan nie prosi, ale słucha.

Gdy odszedł, upadła zmęczona na fotel.

— I pomyśleć sobie, że ten nikczemny, podły człowiek mógłby zostać moim mężem! Przecież doszłam do tego, że niby zaczęłam go kochać. O, drogo on mi zapłaci za to wszystko, intrygant! kłamca!

Drugiego kwietnia w gazecie »Kurjer Honolulski« wydrukowanem było:

»Dziś zrana o ósmej godzinie w naszem mieście wzięli ślub przez telefon: mister Alonzo Fitz-Clarens z Istportu w amerykańskim stanie Maine i miss Rozanna Elton z Portlandu w stanie Oregon. Obrządku ślubnego dopełnili: pastor Geiz z Honolulu i pastor Dawis z New-Yorku. Obecnymi byli: przyjaciółka panny młodej, mistriss Zuzanna Holand z San-Francisko i mister Sidnej Algernon Burley z tegoż miasta, który jednak nie pozostał do końca ceremonji.

Po ślubie panna młoda w towarzystwie przyjaciół odbyła poślubną przejażdżkę, na prześlicznym jachcie kapitana Hotorna, do wysp Hamakala i Lagana.«

Tegoż dnia w gazetach new-yorskich wydrukowanem było:

»Wczoraj o pół do drugiej wzięli ślub przez telefon: mister Alonzo Fitz-Clarens z Istportu w stanie Maine i miss Rozanna Elton z Portlandu w stanie Oregon. Ceremonji dopełnili: pastor Dawis z naszego miasta i pastor Geiz z Honolulu. Obecnymi byli krewni i przyjaciele pana młodego. Po dopełnionym obrządku, dane było sute śniadanie, poczem całe towarzystwo odbyło ślubną wycieczkę do akwarjum, gdyż słabe zdrowie pana młodego nie pozwalało na dalszą ekskursję.

Wieczorem tego pamiętnego dnia mister i mistriss Fitz-Clarens opowiadali sobie czule o swych poślubnych podróżach. Naraz panna młoda zawołała:

— O Alonzo! zapomniałam powiedzieć tobie, że wykonałam mój zamiar.

— Jaki?

— Zrobiłam mu świetne prima aprilis. On stawił się w czarnym fraku, nie zważając na nieznośny upał, i był pewnym, że weźmie ślub ze mną. Gdybyś ty widział tylko jego fizjognomję, gdy mu wytłumaczyłam, o co chodzi.

Wiele się nacierpiałam przez niego, ale teraz żal mi się zrobiło biedaka, i prosiłam go, aby został na weselu, zapewniając, iż mu przebaczam wszystko. Ale on nie chciał i oznajmił, że zemści się okrutnie na nas obojgu. Aleź on nie może przeszkodzić naszemu szczęściu; nieprawdaż, Alonzo?

— Nigdy Rozanno.

Ciotka Zuzanna przywiozła szczęśliwie pannę młodą z wysp Sandwich do New-Yorku, gdzie nastąpiło pierwsze spotkanie gorąco miłujących się małżonków.

K O N I E C.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Księżna Gorysława, dramat w 5 aktach, przez Juljana Moërs z Poradowa. Pisa 1880.

Jaki był ustrój społeczny i polityczny *Słowian,* rozsiedlonych po Dniepr i Dźwinę, przed pojawieniem się *Waregów, Warangów Russów,* wyjaśniają historycy i badacze prawodawstwa słowiańskiego; powszechnie przyjęto za pewne, że były to rzeczpospolite gminowładne.

Spokojne te rzeczpospolite, Nowogrodzka, Pskowska i inne, z zaprowadzeniem systemu absolutyzmu przez Normandów, znikać poczynają i w końcu nikną zupełnie.

Podług Nestora, Słowianie nowogrodzcy wyprawili poselstwo za morze do Waregów Russów, zapraszając ich do rządzenia krajem. *Ruryk* więc i dwaj bracia jego, *Sineus* i *Truwor* *), czyniąc zadość żądaniu Słowian, przyszli około roku 850 i osiedlili się razem ze swoją drużyną przy jeziorze Pskowskiem i nad brzegami Białego jeziora w Nowogrodzie i Izborsku, Oleg zaś, następca Ruryka, przeniósł stolicę do Kijowa.

Kto byli ci Russowie Waragowie, historja wyjaśnia: że byli to Skandynawy, którym Finowie z nad brzegów baltyckich, w kraiku Upland, po dziś dzień dają imię Russów Rudslagen, albo Russlagen czyli związkowych (Warag równe ma mieć znaczenie w starogotyckim języku) żeglarzy przewoźników, od najdawniejszych czasów najmujących się do żeglugi. Waragowie ci służyli cesarzom bizantyjskim w ich wyprawach morskich, a zdarzało się, że i na owych cesarzy napadali, jak Igor, o którego niefortunnej wyprawie na Byzancjum runiczne kamienie opiewają.

Różnica pomiędzy jedną a drugą ideą społeczną i polityczną, Skandynawów, absorbowania wszelkiej woli i poddawania jej jednej z celem coraz szerszych zaborów i wytworzenia do samowładcy zamiarów posłusznego, państwa nieskończonego *rozboju;* a drugą Słowian, władzy podzielonej, praw stanowionych zgodą powszechną spokojnego *rozwoju,* podała autorowi dramatu Księżna Gorysława myśl przedstawienia całej epoki tego kształtowania się państwa Russów, w formie dramatu i przywołania na świadectwo rzeczywistości swojego opowiadania figur dziejowych, djametralnie sobie przeciwnych: z jednej strony Rognedy Gorysławy, córki Rogwołoda *), władcy Połocka, szanującego prawa stare i stare swobody słowiańskie, rozmiłowanej w tych swobodach i marzącej o szczęśliwym czasie panowania jej ojca, aż do podbicia Połocka przez Włodzimierza, zamordowania Rogwołoda i Jaropełka i pojmania jej w przymuszone nienawistne małżeństwo — z drugiej tegoż Włodzimierza, apostoła później wiary chrześcijańskiej pomiędzy pogańskimi Słowianami, ojca Izasława, męża siły wielkiej, organizatora na wzór Karola W., tak przynajmniej mówi on o sobie w dramacie naszego autora, oraz trzeciej możebnej figury, Mohyły, spiewaka ludu.

Idee wielkich związków państwowych monarchicznych czy republikańskich, z których rozwijać się mają w przyszłości dzieje tych związków i ich wpływ na całą ludzkość, przeprzeprowadzane w czyn wielką energią, zatrzymują na sobie badawcze umysły, dopatrujące logiki, historji, planów idei najwyższej, mądrość swoją wiekami odsłaniającej, i to się nazywa filozofją historji.

Jan Baptysta Vico w etymologicznych spostrzeżeniach zauważał, że w języku łacińskim wyrazy: zwierzę i niepostępowość są jedno-znaczne, że więc doskonalenie się jest przymiotem wyłącznie ludzkim i że wychodząc z tego principium. równie jednostka jak i ogół kształcą się i postępują a historja postępowi temu zaświadcza.

Logikę historji przedewszystkiem na widoku mający poeta, wydobywa i podnosi do znaczenia to najwięcej, co zamiarom jego odpowiada. W utworze poetycznym tego rodzaju dominuje myśl, idea. namiętności podrzędną odgrywają rolę, szczegóły szybko przesuwają się, śpieszy on za swoim celem, za całością idei, którą odkrywa i uszczęśliwiony inwencją, kończy dzieło, jak matematyk, wyrazem: dowiodłem, taki otrzymałem wypadek.

Natan Lessinga, czy Cromwell Wiktora Hugo, Iridion czy Lilla Weneda, tak powstały, są to utwory natchnione rozmyślaniem nad rozwijaniem się albo zboczeniami historji, czy rozwijaniem się pojęć kosmogonicznych i praw ludzkich i ich stosunku do wiecznych; tak powstała Tryłogja Eschylesa, tak Prometeusz Sheleya.

Dramat, w zwyczajnem tego słowa rozumieniu, mniej się zajmuje mytem, czy logiką planów idei ukrytych w historji, więcej grą namiętności, z których powstaje walka, kończąca się zwykle starciem się żywiołów. Idee są to blaski, które oświecają, namiętności, mogą być porównane do palących płomieni i taki też mają charakter djalogi i rozwiązania w obu rodzajach.

Dzieło, jakie mamy przed sobą, widocznie nosi na sobie cechę dramatów, natchnionych filozofją historji; idea cała występuje tu jawnie, rzecz idzie o przedstawienie dwóch narodowości: normandzkiej i słowiańskiej.

Jak około jednej postaci Halbana, obraca się cała myśl poematu, tak w dramacie Gorysława około pieśniarza Mohyły; o co tu najgłówniej idzie, dowiesz się od owego starca na mogiłach i uroczyskach, zapalającego ognie ofiarne, on jeden cierpi najgłębiej i najprawdziwiej nad upadkiem swobody słowiańskiej, liryzm

*) Roczniki Franków pierwszego nazywają wodzem Duńczyków, drugiego (Sineusa) królem Normandów, a trzeciego (Truwora) tylko po prostu Normandem.

*) W historji Rogwołod jest równie Normandem jak Włodimir, przybyły ze Skandynawji kwoli służeniu książętom ruskim, a córka jego Rogneda nie komu innemu miała być poślubioną, jak rodzonemu bratu Włodimira, Jaropełkowi.

przenosi wszystko inne, natura poety wybija się nad dramat, resztę kreacji prowadząc za sobą.

Osią, na której się obracają dramata, powstające z namiętności, bywa miłość, zemsta, pycha, poświęcenie, zemsta prowadząca do furji Oresta czy Hamleta, pycha do zbrodni Makbeta, poświęcenie do najwznioślejszej ofiary El principe Constant, otóż takiej namiętności osobistej w Gorysławie nie ma; nienawidzi ona Włodzimierza, nie jako męża swojego, ale jako nieprzyjaciela Słowian. Nienawiść Gorysławy, skłaniająca ją aż do zamierzonego otrucia Włodzimierza *), gdyby figurę tę uważać nie za mityczną, ale rzeczywistą, byłaby niemożebną.

Kobiety sabińskie nie zostawiły wspomnienia podobnej nienawiści do swoich gwałtowników, przeciwnie, uczucie macierzyńskie usunęło z ich piersi narodowe.

Otrucie Atylli, przypisywane żonie jego Helszy, Herce czy Hoyce, da się zrozumieć; mogło to nastąpić w pierwszych dniach zaślubin; inaczej byłoby, gdyby jej przyszło dokonać zabójstwa po przyjściu na świat dziecięcia; pojął to niemiecki autor (Hebl), u którego Judyta po dokonaniu zemsty na nieprzyjacielu ojczyzny, zabija i siebie, żeby nie dać życia potomkowi ze związku z wrogiem swojego narodu.

Zadziwia nas czemu Gorysława w syna swojego Izasława nienawiści do ojca nie wpaja. Izasław nie wie o zbrodni przez ojca dokonanej, matka nigdy mu o tem nie wspomniała, coby dowodziło, że nienawiść jej nie była tak gwałtowną, ale jeśli nie, cóż ją na raz zamienia w furję zemsty? czy uczucie zazdrości, że Włodzimierz z Byzancjum drugą żonę, księżniczkę grecką prowadzi? nie, mało ją to obchodzi, Włodzimierz wszakci miał haremy swoje, 300 nałożnic w Białogrodzie a 200 w Berestowie i żon bez liku, podług historji powodem była zazdrość. Rogneda historyczna przebaczyła śmierć ojca i brata, ale wygnania z pałacu księcia dla drugiej żony przebaczyć nie mogła. Rogneda dramatu inny daje powód: *nienawiść szczepową*, ale ta nienawiść z natury rzeczy wychodząc, nieusprawiedliwia jej czynu, równie jak i obawa o utratę syna Izasława, którego ojciec przychodzi zabrać ze sobą.

Tak więc charakter Gorysławy rozbierając trudno przyznać mu indywidualność wybitną, działającą przez samą siebie, nie zrozumiemy jej ani jako matki, ani jako Słowianki (którą zresztą nie była) ani jako księżnej, ale zrozumiemy jeśli przypomnimy Mohyłę, który czarodziejską siłą pieśni i wspomnień działa na nią tak, że słaba i nieporadna, ile razy ten starzec zbliży się do niej, bierze moc. która trwa tak długo pokąd jej nie opuści, naśladuje go nawet w śmierci i zabija się, żeby spłonąć na tym że samym stosie, na którym spłonął ostatni wieszcz słowiański. Bez głębokiej wciąż w umyśle pracującej zemsty, naraz zdobywa się na zadanie śmierci mężowi, bez dodania zniewagi, i w chwili kiedy ów znienawidzony Warag daje jej dowody miłości i wyższości umysłu, a syna jej księciem po sobie naznacza, odbiera sobie życie. Czyny nie do pojęcia, a jednak pojmują się w obec czaru jaki na nią rzuca pieśń Mohyły, jego życie i zgon — do pojęcia jeśli ją weźmiemy za figurę mityczną czy symboliczną.

*) W historji Gorysława uderza ze sztyletem w ręku na śpiącego Włodzimierza.

Podania o potędze Bardów starożytnych, owej średniowiecznej instytucji wywierającej wpływ na boje rycerzy, posiadającej swoje osobne ustawy, Bardów (Derwidów skandynawskich) czy Celtyckich, Kaledońskich, godzą się u poetów polskich z podaniami o wieszczych Bojanach czy Ludjekach; podania te tem większego nabierają znaczenia, im więcej ta lub owa narodowość cierpi pod przemocą obcej siły i innej broni nad ową pieśń wokoło siebie niewidzi, na tle tych podań w wyobraźni poetów rysują się takie Halbany, Lilije i Gorysławy.

W starych romansach przed stu laty czytanych, znajdują się opowiadania o rycerzach słonecznych i księżycowych; otóż Gorysława jest taką księżycową bohaterką, poruszającą się i odważającą na niepodobne drogi pod wpływem melancholji pieśni narodowej, a stan ten wybornie oddaje *usposobienie duchowe Słowian* na których działalność wpływa czar podań i pieśni, świat fantazyjny więcej niż rzeczywisty, sen, że się tak wyrazimy, na jawie, których przyszłość wciąż niepewna, nie obliczona, nie oparta na podstawie rozumowej, nie na systemie mniej więcej trwałym, ale na ruchliwym elemencie entuzjazmu, wolności nieograniczonej, mimo to rozwija się i harmonizuje w wielkim koncercie historji. Pieśń w granicach możebności byłaby najwłaściwszym ich programem politycznym, ale że natura pieśni leży właśnie w przekraczaniu tych granic, ztąd zawody i klęski tych plemion, ale razem i piękność i podniosłość jaka ich od innych ludów wyróżnia. Wyobraźnia więc poetyczna składa się na ich szczęście i niedolę, na ich poetyczność i upadki.

Analogja pomiędzy wypadkiem, który opowiada hebrajski dziejopis, wyniesienia na tron króla (Saula) aby rządził pokoleniami siłą oręża a przyzwaniem Waragów Russów z ziemi skandynawskiej, jeżeli nie dowodzi wschodniego pochodzenia ludów słowiańskich (są którzy je wywodzą od Assyryjczyków) to dowodzi niewątpliwie tej prawdy, że fantazja, nawet zbiorowa wyczerpuje się wśród najwięcej nią obdarzonych i że przychodzą epoki dobrowolnego jej wyrzeczenia się na czas jakiś, pokąd jej skrzydła do nowych nie odrosną lotów. *Iskra, promień*, Promoteusz podniesie głos po czasach, Tytan odrzuci z czoła ciążącą mu skorupę ziemi i spojrzy w gwiazdy, kiedy sny jego pierwsze staną się rzeczywistością, lecz nim to nastąpi, żelazna ręka uprawiać musi ziemię i w porządek wtłaczać rozbujałe flukta.

Żywioł normandzki był w rozwoju historycznym potrzebnym, ażeby ująć w karby rozbujałą fantazję słowiańską.

(Dokończenie nastąpi.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Na bronzowy medal pamiątkowy 50-letniej rocznicy powstania listopadowego, złożyli w redakcji „Tygodnia Polskiego" w dalszym ciągu przedpłatę: WW. Feliks Bieńkowski ze Lwowa; K. Dybowski ze Lwowa; Węgierski ze Lwowa; Tadeusz Poźniak ze Lwowa; Franciszek Rościszewski ze Smykowiec.

Na medal srebrny: W. Wiktor Zienkowicz z Medjolanu.

* * *

Mamy tedy gubernatora banku dla krajów, mamy bank, a zdaje się niezadługo będziemy mieć nowego Marszałka krajowego — więc powinno być wkrótce i lepiej w naszej poczciwej Galicji. Takby się należało spodziewać, jeżeli tylu naszych rodaków zajmuje wybitne i wpływowe stanowiska w radzie korony. Lecz czy rzeczywiście tak będzie, pozwolimy sobie postawić wielki znak zapytania. Organa nasze, przynajmniej te, które mają bliższe stosunki z wysokiemi polskiemi sferami, zaczynają powoli kropić nas zimną wodą, żebyśmy nie wiele oczekiwali z tej strony. Powiadają nam, że ten bank nowy nie jest dla nas, ale dla państwa i będzie robił grubsze operacje, niż nasza biedna Galicja dać może. Dlatego nie trzeba myśleć, aby kiedyś, kiedyś miała się zjawić u nas jakabądź jego filia... Może, potem, jak się ogarniemy trochę i będzie brać z kogo — to się zobaczy. Mianowanie gubernatorem Polaka posiadającego dotąd zaufanie kraju, powiadają te pisma, to nie znaczy, żeby on koniecznie miał myśleć o Galicji. Dla nas dosyć jest tego splendoru, że z pomiędzy tylu różnorodnych pretendentów na tę mizerną posadę, wybór padł na rodaka; — gdyby on nie przyjął, znalazłby się nie Polak i honor narodowy i wpływ galicyjski wiele by na tem ucierpiał. — Niechże i tak będzie, zgadzamy się na to, lecz to jakoś nie może nam wywietrzyć z głowy, żeby hrabia Wodzicki tak myślał. Bądź co bądź, porzucając zaszczytną pozycję marszałka krajowego, i zasiadając w różnojęzycznej Radzie zawiadowczej nowego banku jako jej prezes, nie wątpimy, że inne miał cele przyjmując ten urząd, a mianowicie: że pracę i zdolności swoje potrafi daleko korzystniej, niż dotąd zużytkować dla swej ojczyzny. Rzeczywiście Galicja dziś formalnie choruje na wycieńczenie ekonomiczne, a że w niej nie brak żywiołów, mogących przy odpowiedniem lekarstwie odrodzić nieco swój organizm — to o tem lepiej niż kto inny wie hrabia gubernator. Nie jesteśmy tak naiwnie dobroduszni, żebyśmy żądali tanich pożyczek na liche hypoteki nasze; tego rodzaju lekarstwo u nas zwykle dobijało szlachtę. Lecz jeżeli Bank przedsięweźmie czy sam, czy przychodząc w pomoc miejscowym żywiołom, rozbudzenie naszego przemysłu, wskaże drogi eksploatacji dla naszych bogactw naturalnych, dotąd nieruszonych — to już będzie wielką jego zasługą. a pośrednio korzyścią dla wszystkich klas pracujących. Jedna gałęź przemysłu, podnosząc się sama, stwarza potrzebę powstawania innych, a koło tych potrzeb nadzwyczaj szybko się rozszerza i wciąga do swego obrotu całe społeczeństwo. Należy tylko zacząć umiejętnie, rozważnie, oszczędnie — czego my właśnie sami nie potrafimy. Prosimy zatem na pierwszy raz o nauczycieli i przewodników, a później da Bóg, że damy sobie radę.

Znając nieco bliżej tutejsze stosunki, i charakterystykę dzisiejszego społeczeństwa, z góry nie wierzymy we wszystkie ankiety i piękne słowa, nie wierzymy w jakiebądź kredyta i operacje finansowe. Właśnie te piękne frazesy i zaraza giełdowa z Wiednia zdemoralizowały nas kiedyś przed laty, dając chwilowo łatwy zysk bez pracy i bez uciekania się do oszczędności. Źródła łatwego zysku, fatalnie się skończyły, a

nam przyzwyczajonym do komfortu, zostało bolesne rozczarowanie z apatją i narzekaniem. Lecz jakąż odnieśliśmy naukę z tak smutnej sytuacji? Oto nauczyliśmy się żyć na kredyt. — Nie przesadzam bynajmniej, gdy powiem, że dziewięć dziesiątych mieszkańców Lwowa żyje na kredyt. Urzędnicy nawet, dobrze uposażeni, kupcy, przemysłowcy, wszelkiego rodzaju inteligenci, nawet studenci, wszystko to siedzi przeważnie w kieszeniach lichwiarzy i do końca życia nie może wydostać się z ich szponów. Ileż to razy, czytając ogłoszenia policyjne o zagubionych przez nasze panie portmonetkach z pieniędzmi, znajdujemy zawsze, że między innemi przedmiotami zaginęła także kartka jakiegoś banku zastawniczego z takim a takim numerem — dowód, że i kobiety nasze nie są wolne od tej powszechnej właściwości robienia długów..— Więc wobec takiego życia nad stan, czyż można myśleć o jakichbądź oszczędnościach?

A cóż jeżeli nie oszczędność stanowi kapitał i daje miarę zamożności narodowej? Dalej, czy podobna jest żądać po dzieciach naszych, aby innemi szły tory i lepszą zgotowały przyszłość dla kraju, jeżeli rosną w takiej atmosferze długów i wiecznych długów swoich rodziców. Smutna to prawda -- ale prawda właściwa tylko galicyjskiemu społeczeństwu, na którego glebie wyrosła tak bujnie kasta Żydów, która dziś już sama z pewną dumą nazywa się lichwiarzami. Zapewniam was uroczyście czytelnicy, że nie ma w całej Europie podobnie lekkomyślnego społeczeństwa, w którem do tego stopnia byłaby upowszechnioną mania robienia długów. Bywają różne wypadki w życiu, że człowiek chwilowo musi się uciec do kredytu, ale o tem mię nikt nie przekona, ażeby rodzina, mająca 1200, i wyżej aż do kilku tysięcy reńskich rocznego dochodu, nie mogła przy pracy i oszczędności wyżyć z tego — to jest niepodobieństwem. A cóż robią ci, którzy mają parę set i żyją i jeszcze coś złożą?

Zapytajcie się biednego chłopa francuskiego, prostego robotnika lub odźwiernego w Paryżu, czy on nie ma bodaj sto franków renty?—Zdziwi się, jak można go o to pytać — co jest tak naturalnem i tak zwyczajnem u każdego Francuza jak chleb powszedni, powietrze lub woda...

Otóż gdzie leży tajemnica robienia majątku i zapewnienia sobie dobrobytu na stare lata! Chcemy reformować kraj, — nie wołajmy o kredyt, ale jeżeli już sami nie możemy się powstrzymać, nauczmy nasze dzieci oszczędności, a z pewnością i im i krajowi będzie lepiej. Tak robią Żydzi, tak robią wielcy panowie, którzy jedynie może u nas zrozumieli na czem stoją rody i rękami i nogami trzymają się fortuny...

* * *

Jakby na dowód tego, co wyżej powiedziano, zaznaczamy tu krążącą od tygodnia pogłoskę, że w pewnej wielkiej Instytucji publicznej we Lwowie zaszły jakieś nieporządki kasowe, grożące wielką stratą z powodu defraudacji kasjera. Na razie wstrzymujemy się z podaniem bliższych szczegółów tej sprawy dotąd jeszcze dokładnie niezbadanej z powodu braku kluczów od kas ogniotrwałych. A przyczyną tego, jest zawsze ta sama historja — życie nad stan i lekkomyślność pędząca na oślep swoje ofiary do przepaści. Czy to nie smutno?

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Abecadło ruchome*, wielkie i małe, naklejone na tekturkach, w ozdobnem pudełku. 1 złr. 50 ct.

— *Anczyc Wł. L.* Przypadki Robinsona Kruzoe, podług najnowszych źródeł. Wydanie trzecie, z 10ciu rycinami i licznymi drzeworytami w tekście 8ka, str. 349. Warszawa 1880. Kartonowane 1 złr. 80 cnt.

— *Bałucki Michał.* Romans bez miłości. Szkic powieściowy z galerji serc kobiecych. 8ka, str. 211. Warszawa 1880 1 złr. 50.

— *Biart Lucjan.* Podróż mimowolna, tłumaczenie St. M. Rzętkowskiego. 8ka str. 264. z licznemi illustracjami, oprawne w płótno ang. z wyciskami, 3 złr.

— *Bieda z nędzą.* Baśń ludowa, opracowana przez K. Wł. Wójcickiego z prześlicznemi rycinami kolorowanemi, (chromolitografiami) W. Szymanowskiego. Z ozdobną okładką kartonową. 1 złr 80 cnt.

— *Blichtr i złoto.* Powieść dla dorastających panienek spolszczona przez Felicję Szymanowską. 8ka, str. 368. z licznemi iilustracjami. Warszawa 1880. Ozdobnie oprawne w płótno ang. 3 złr.

— *Chałupczyński dr. A.* O niektórych błędach w teorji Darwina. 8ka. str. 96. Warszawa 1880. 90 cnt.

— »*Cuda nad cudami*«. Czarodziejsko pantomiczny teatrzyk w ruchomych przemianach i prześlicznych kolorowanych obrazkach dla grzecznych dzieci. Ozdobnie kartonowane. Sinobrody. Cena 1 złr. 50 cnt. Kot w butach 1 złr. 50. ct. Piękna księżniczka w uspionym lesie 1 złr. 50 ct. Aladyn czyli cudowna lampa 1 złr. 50 ct. Kopciuszek 1 złr. 50 ct.

— *Dubiecki Marjan.* Rys dziejów najnowszych od r. 1815 do 1875. z krótkim rzutem oka na dzieje lat 1876—1878. 8ka, str. 452. Wilno 1880. 3 złr.

— »*Faryzeusze*«. Powieść współczesna, napisał Kij. 8ka, str. 81. Kraków 1880. 1 złr.

— *Gawalewicz M.* Z rozpaczy. Humorestka sceniczna oryginalnie napisana. 8ka, str. 48. Warszawa 1880. 60 ct.

— *Gohren Teodor*, dr. filozofji. Prawa natury w żywieniu zwierząt domowych gospodarskich. Przekład studentów instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandrji pod redakcją Teofila Cichockiego, docenta tegoż Instytutu. Z dołączonemi w tekście rysunkami, duża 8ka, str. 599. Warszawa 1880. 6 złr.

— *Hajota* (pseudonim) Dla sławy. Nowella. 8ka str. 228. Wilno 1880. 1. złr. 15 ct.

— — Pięciolistny bez. Nowella. 1880. 1 złr. 35 ct.

— »*Kalendarz dla młodego wieku*« na rok zwyczajny 1881. 8ka, str. 140. Warszawa 1880. 91 cnt.

— *Kaplińska Zofja.* Rozrywki na dni świąteczne. Powiastki, komedyjki i przypowieści moralne dla młodzieży. Wydanie trzecie. 8ka, str. 309. Warszawa 1880. 1 złr. 15 ct., kartonowane 1 złr. 50 ct.. oprawne w płótno angielskie z wyciskami 1 złr. 80 ct.

— *Kaszewski Kazimierz.* Wypisy z autorów starożytnych dla użytku młodzieży. 8ka, str. 350 Warszawa 1880. 2 złr.

— »*Kolęda dla gospodyń*«. Kalendarz na rok zwyczajny 1881, przez autorkę 365. obiadów. (rok szósty) duża 8ka, str. 174. Warszawa 1880. 91 ct.

— *Kraszewski J. I.* Chore dusze. Powieść w dwóch tomach. 8ka str. 206, 189. Warszawa 1881. 2 złr. 25 ct.

— *Kraszewski Kajetan.* Od szkolnej ławy. Opowiadanie z lat 1798—1813. (Odbitka z Bibljoteki warszawskiej) 8ka str. 186. Warszawa 1880. 2 złr. 25 ct.

— *Kremer Józef.* Dzieła tom XI. zawiera: Podróż do Włoch. tom VI. arkusz 3—13. Pisma pomniejsze arkusz 25—31. Warszawa 1880.

— *Leja Emilja.* Przechadzki ojca z dziećmi po polu, łąkach, lesie i ogrodzie, czyli świat roślinny w powieściach, rozmowach i opowiadaniach. 8ka str. 346 z licznemi ilustracjami w ozdobnej oprawie w płótno ang. 3 złr.

— *Morawski Adam.* Miesiąc listopad czyli nabożeństwo za dusze w czyścu cierpiące. 16ka str. 139 Warszawa 1880. 30 ct.

— *Mostowski Adolf.* Komedje oryginalne XI i XII. Bezdzietni, w trzech aktach prozą, i Duma i Ambicja, w trzech aktach prozą, 8ka str. 200. Warszawa 1880. 1 złr. 35 ct.

— *O obrotach giełdowych*, przez L. H. 2 t. 8ka str. 321, 285. (Odbitka z Gazety Handlowej.) Warszawa 1880. 1 złr. 80 ct.

— *Opowiadania* kapitana Patelskiego, powtórzył J. L. 8ka str. 256. Kraków 1880. 2 złr.

— *Polkowski J.* Elementarz polski i ruski (rossyjski), czyli najpraktyczniejszy sposób nauczania w krótkim czasie czytać bez poprzedniej nauki alfabetu i sylabizowania. 8ka str. 85. Warszawa 1880. Kartonowane 90 ct.

— *Prześliczne obrazy* w przeźroczu do sześciu najpiękniejszych baśni zastosowane. Najpiękniejsza książka obrazkowa, kartonowana 3 złr.

— *Sienkiewicz Henryk.* Pisma tom IV. zawiera: Przez stepy. Orso. Z pamiętników poznańskiego nauczyciela. Czyja wina? Za chlebem. 8ka str. 310. Warszawa 1880. 2 złr. 25 ct.

— *Starszedel L.* Podręcznik dla uczących się języka francuskiego. O użyciu przedimków: le, la, les, un, une, du, de la, des i przyimka de. 8ka str. 54. Warszawa 1881. 64 ct.

— *Strzelecki Antoni.* Kalendarz rolniczy na rok 1881. 2 części. 2 złr.

— *Synoradzki Michał Halina.* Sąsiad z Ruszczyc. Powieść. 8ka str. 288. Warszawa 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Syrokomla Wł.* Jan Dęboróg. Wydanie siódme (z upoważnienia rodziny autora). Bibljoteka Mrówki tomik 102 16ka str. 94. Lwów 1880. 20 ct.

— *Syrokomla Wł.* Szkolne czasy. Nowe opowiadanie Jana Dęboroga. Bibljoteki Mrówki tomik 103 16ka str. 48. Lwów 1880. 20 ct.

— *O naśladowaniu Jezusa Chrystusa* przez Tomasza à Kempis, tłumaczył z łacińskiego ks..... Księg IV. wraz z rekolekcjami. Zastosowane dla osób świeckich. Wydanie nowe A. M. 16ka str. 455. Warszawa 1880. 1 złr. 20 ct.

— *Wiara i miłość.* Całe nabożeństwo, potrzebne chrześcjanowi, dla wszystkich stanów, płci i wieku, oraz rady i rozmyślania, zebrał za pozwoleniem zwierzchności duchownej Adam Morawski. 16ka str. 330 i XVIII. Warszawa 1880. 1 złr. 15 ct.
Oprawne w skórkę 2 złr. 70 ct.
Toż samo, format większy, 8ka str. 516 i XXIII 1 złr. 80 ct.
Oprawne w skórkę 3 złr. 75 ct.

— *Wieczór. Ludomir Szczerbowicz.* Dzieje starożytne w opowiadaniach dla młodzieży. Część II. Grecja 8ka str. 121. Warszawa 1880. 90 ct.

— *Ungra Józefa* Kalendarz ilustrowany na rok zwyczajny 1881. 1 złr.

— *Zmiłuj się nad nami.* Nabożeństwo rzymsko-katolickie dla młodzieży szkolnej. 8ka str. 320. Kraków 1880. Oprawne w płótno 90 ct.
Oprawne w skórkę 1 złr. 50 ct.

— *Żywoty Świętych Pańskich,* starego i nowego testamentu, z dziele Piotra Skargi, skrócone i zastosowane do użytku i osób wszelkiego stanu i wieku, przez Ap. C. tom V. (ostatni) 8ka str. 430. Warszawa 1880. Cena za całość (5 t) 7 złr. 50 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

⁂ „Zbiór pamiętników do historji powstania z r. 1830—1831“, ułożony staraniem Komisji wydawnictw pamiątkowych na uczczenie piędziesięcioletniej rocznicy listopadowej; — Zeszyt I opuścił prasę drukarską i jest do odebrania w księgarni Polskiej we Lwowie.

⁂ Z dniem 1. stycznia 1881 r. zacznie wychodzić w Krakowie dwutygodnik p. t »*Muzeum*«, poświęcony sprawom ekonomicznym, naukowym i literackim. O ile nam wiadomo, ma to być czasopismo wolne od wszelkich stronniczych dążności a postępowo redagowane. Redaktorem odpowiedzialnym jest dr. Tadeusz Rutowski. Nowemu wydawnictwu szczerze życzymy jak najlepszego powodzenia, bo jeśli gdzie to niezawodnie w Krakowie oddawna czuć potrzebę czasopisma, niezawisłego od stronniczych, częstokroć skrajnych poglądów i koteryjnych ambicyjek. Bliższe szczegóły zapewne ogłoszą wkrótce prospekty.

⁂ W Warszawie wyszły z druku „Pamiątki historyczne dla ludu naszego“, napisane przez Józefa Grajnerta.

⁂ P. J. Szlesyngier wzbogacił naszą literaturę łowiecką, świeżo wydaną książką p. t. „Myśliwy ze strzelbą.“

⁂ Paryzki wydawca Ernest Leroux wydał niedawno: I. Baranowskiego „Vade mecum de la langue française“, Chodźkiewicza „Une inscription cunéiforme de Persépolis“, Al. Chodźki „Les chants historiques de l'Ukraine et les chansons des Latyches etc.“ oraz przekład francuski historji literatury słowiańskiej Pypina i Spasowicza przez Er. Denisa dokonany.

⁂ Edward Jelinek, literat czeski, o pobycie którego w Warszawie w swoim czasie donosiliśmy, rozpoczął odczyty „o Warszawie“ w klubie artystycznym, w Pradze czeskiej.
Odcinki w *Narodnich listach,* obejmujące opis podróży do Królestwa, mają wyjść w odzielnej odbitce.

⁂ Znane niemieckie czasopismo *Frühlings landwirtschaftliche Ztng.* zamieszcza w jednym z ostatnich swoich zeszytów, rozbjór prac z dziedziny gospodarstwa wiejskiego drukowanych w agronomicznych pismach polskich.
Podawszy treściwie ważniejsze artykuły *Gazety rolniczej,* nad którą się zastanawia ze szczególną uwagą, kończy sprawozdawca życzeniem, aby *Gazeta rolnicza* rozwijała się dalej na raz obranej drodze, dziś bowiem jest już najważniejszą przedstawicielką perjodycznej polskiej literatury rolniczej.

⁂ Romansopisarz Turgeniew pracuje obecnie nad dziełem: „Puszkin w Rosji południowej“; dzieło pisane jest w języku francuskim.

⁂ Korespondent wiedeński *Gazety polskiej* donosi, iż w stolicy austrjackiej wychodzić ma od nowego roku pismo tygodniowe polityczno-ekonomiczne *Ogniwo.*

⁂ „Przegląd Polski“ w zeszycie za m. listopad rb. zawiera: 1. Dyzma Bończa Tomaszewski, przez dr. Antoniego J. 2. Z Kołomyi, przez Stanisława Tarnowskiego. 3. Walerjana Kalinki „Sejm czteroletni“ przez Pawła Popiela 4. Szkice z podróży do południowej Afryki, odbytej w latach 1875—1876. W Natalu, przez dra Antoniego Rehmana. 5. Rytwiany i ich dziedzice, przez Ludw. Powidaja. 6. Przegląd polityczny przez Aleks. Szukiewicza. 7. Nowe książki.

Nauka.

⁂ Katedrę okulistyki w uniwersytecie wiedeńskim objął nasz rodak, dr. Michał Borysikiewicz.

⁂ Rząd rzeczypospolitej francuskiej, oceniając prace tych uczestników paryskiego kongresu hygienicznego z r. 1878, którzy najwięcej się przyczynili do jego powodzenia, udzielił oznaki *palm akademickich,* pomiędzy innymi, pani Bovell-Sturge, doktorce medycyny w Londynie i doktorowi Lubelskiemu Wilhelmowi w Warszawie.

⁂ Senat uniwersytetu w Cambridge roztrząsał pytanie, czy nauka języka greckiego ma i nadal we wszystk,ch wypadkach pozostać obowiązkową, czy też w miejsce jej należy wprowadzić języki niemiecki i francuski; senat 185 głosami przeciw 145 oświadczył się za zatrzymaniem studjów języka greckiego.

⁂ W Amsterdamie założony został ortodoksalny wolny uniwersytet i otwarty z dwoma studentami. Ma on już posiadać kapitał czterech miljonów guldenów. Rektor Kuyper w mowie inauguracyjnej oświadczył, iż zakład wydawać będzie dyplomy ze stopniami uniwersyteckiemi. Jest to prawo, które do roku 1876 wyłącznie należało do państwa.

⁂ Na ostatniem posiedzeniu paryskiej akademji nauk pp. Hautefeille i Chappuis oznajmili, że udało się im skroplić ozon.

⁂ Wiedeńskie towarzystwo geograficzne urządza nową wyprawę naukową do Afryki, pod kierunkiem dra Emila Holuba.

Sztuki Piękne.

⁂ Warszawa w sztuce malarskiej nabiera snać powagi, skoro i zagraniczni celniejsi malarze starają się o wystawienie tam dzieł swoich.

Hans Mackart, wykończywszy świeżo prześliczny portret damy-warszawianki, objawił życzenie i prosił o upoważnienie wystawienia tego dzieła na widok publiczny w Warszawie.

W *Illustracji lipskiej* znajduje się rycina „al fresco“ pędzla Piotrowskiego w auli uniwersytetu królewieckiego.
Wspaniała ta praca naszego ziomka przedstawia „Śmierć Sokratesa“.

⁂ O artystach naszych w dziennikach włoskich co raz częstsze spotykamy wzmianki.
Obecnie w „Diritto“ czytamy obszerny artykuł o rzeźbiarzu Brodzkim, a w „Illustracji hiszpańskiej o dziełach Matejki.

⁂ Ziomek nasz, p. Józef Zieliński, architekt, ozdobiony został przez rzymską akademję sztuk pięknych palmą akademicką za prace architektoniczne.

⁂ *Swetozor* podaje szereg rycin przedstawiających widoki z Karpat
Są to rysunki kreślone z natury przez Brechlera z wielką prawdą i życiem.
Opisy odnośne odznaczają się znajomością przedmiotu.

⁂ Z Lublina donoszą, iż na nowo poruszoną została tam sprawa wybudowania stałego teatru.
Znalazł się przedsiębiorca gotów znaczny poświęcić na to fundusz, a który oddawna już prowadzi z miastem stosowne układy.
Dotąd jednak starania te rozbijają się o różne formalności, które opóźniają całe przedsięwzięcie.

⁂ W Warszawie ma być w tych dniach wystawiony wielki balet „Indja“.

⁂ Rodak nasz, artysta malarz, Paweł Merwart, były uczeń p. Pawłowicza we Lwowie, a od lat kilku Lehmana, członka francuskiego instytutu, otrzymał znowu, i to po raz trzeci, medal konkursowy w szkole sztuk pięknych w Paryżu.
Tym razem konkurs, do którego stawało 57 kandydatów, był jednym z tych, które nie tylko nadają dyplom doskonałości, ale zarazem do wielu przywilejów drogę torują.
Wobec takich tryumfów i przy znanej wytrwałości artysty, należy się spodziewać, że wkrótce p. Merwart stanie się pierwszorzędną gwiazdą na naszym horyzoncie artystycznym.

Statystyka.

⁂ *Bibljoteki europejskie.* W dzienniku statystycznym wiedeńskim *Statistische Monatsschrift* znajdujemy niektóre ciekawe dane, dotyczące bibljotek europejskich. Liczbę bibljotek, znajdujących się w nich tomów i mauskryptów w niektórych państwach, dziennik ten podaje jak następuje:

	bibl.	tomów	manuskryptów
w Austrji . .	577	5,475.798	. . . 68.176
we Francji . .	500	4.598.000	. . . 135.000
we Włoszech .	493	4.348.281	. . . 330.570
w Prusach . .	398	2,640.450	. . . 58.000
w W. Brytanji	200	2.871.493	. . . 26.000
w Bawarji . .	169	1.368.500	. . . 24.000
w Belgji . .	105	609.110	. . . 19.700

Co odpwiednio do ludności daje stosunek następujący:

w Austrji . .	26,8	tomów	na 100	mieszkańców
w Bawarji . .	26,4	„	„	„
we Włoszech .	16,2	„	„	„
we Francji . .	12,5	„	„	„
w Prusach . .	11.0	„	„	„
w Belgji . . .	10,4	„	„	„
w W. Brytanji	6,0	„	„	„

Artykuł owego dziennika kończy się wykazem głównych bibljotek na świecie, z którego wymieniamy tu tylko bibljoteki europejskie liczące 300 t. tomów i wyżej.

Bibljoteka narodowa (biblioteque nationale) paryska liczy 2,078.000 tomów; Muzeum Brytańskie-

go w Lodynie 1.000.000; Królewska w Monachium 800.000; Królewsko-berlińska 700.000; Królewsko-drezdeńska 500.000; Cesarska w Wiedniu 420.000; Królewska w Kopenhadze 410.000; Uniwersytecka w Gotyndze 400.000; Zamkowa w Darmsztadzie 380.000; Uniwersytecka w Lipsku 350.000; Uniwersytecka w Wrocławiu 340.000. Po 300.000 tomów zawierają: Bibljoteka królewska w Sztutgardzie, uniwersytecka w Oxfordzie, uniwersytecka w Hejdelbergu, wreszcie bibljoteka miasta Hamburga.

Dziwna tylko, że w wykazie tym nie spotykamy cesarskiej bibljoteki publicznej w Petersburgu, obejmującej przeszło miljon tomów.

ROZMAITOŚCI.

BASTYLJA I JEJ WIĘŹNIOWIE.

Wspomnienie Bastylji złączyło się ostatniemi czasy ściśle z bieżącemi dziejowemi wypadkami Francji i stało się niejako hasłem do obchodzenia wielkiego święta narodowego.

Budowa Bastylji została rozpoczętą i prowadzoną dalej w r. 1369 aż do r. 1371, a następnie w r. 1383 pod panowaniem króla Karola VI-go ukończoną.

Pierwotnie miała ona służyć jako cytadela stolicy, przeciw Anglikom, ale z czasem przerobiono ją na więzienie polityczne, i w tym celu zaopatrzono podziemnemi lochami i rozlicznemi norami, lokalnościami, do których Ludwik XI przyłączył jeszcze w dodatku „żelazną klatkę.“

Równie jak Tower w Londynie, miała paryzka Bastylja swoją własną załogę pod wodzą osobnego komendanta, i trzymaną była w ścisłem odosobieniu od miasta.

Lokatorowie Bastylji składali się przeważnie z literatów, dziennikarzy, księgarzy, drukarzy, nie licząc osób oskarżonych lub podejrzanych o udział w zbrodniach politycznych albo intrygach, lub też wreszcie karanych za pospolite przestępstwa.

Aresztowanie więźnia przeznaczonego do Bastylji odbywało się zwykle w nocy; oddział żołnierzy policyjnych udawał się w zamkniętym powozie do mieszkania skazanego, dowódca eskorty dotknął go białą laseczką, poczem aresztowany musiał iść za nim i wsiąść do powozu, który zatrzymywał się dopiero przy zwodzonym moście.

Tam odzywał się do nich głos warty: „Qui vive!“ — odpowiedź towarzyszącego oficera brzmiała: „na rozkaz króla!“

Żołnierz stojący na warcie zawiadamiał następnie dowódcę straży, który spojrzawszy na wydany przez króla rozkaz aresztowania *(lettre de cachet)*, otwierał bramę i ciągnął za dzwonek.

Na ten odgłos udawał się komendant wraz z owym dowódcą straży do izby inspekcyjnej, gdzie sprawdzali autentyczność rozkazu, a mianowicie przekonywali się, czy opatrzony jest podpisem króla i jednego z ministrów.

Podczas załatwiania tych formalności, żołnierze straży, którzy tymczasem stanęli pod bronią, musieli trzymać kapelusze przed oczyma, ponieważ nie wolno im było widzieć świeżo ujętego więźnia.

Tenże został następnie zaprowadzony i postawiony przed gubernatora Bastylji, który go pokrótce przesłuchał i przeznaczał kategorję więzienia, w jakiej miał być osadzonym.

Przedtem jeszcze musiał się uwięziony poddać upokarzającej procedurze rewizji i oddać wszelkie rzeczy wartościowe; oficerowie sporządzili dokładny spis tychże i opatrzyli go swojemi podpisami.

Nareszcie przystąpiono do ceremonji odprowadzenia...

Kapitan dowodzący strażą przy bramie wręczył jednemu z woźnych ogromny pęk kluczów, a ten wraz ze swoimi towarzyszami prowadził pozbawionego wolności przez pierwszy dziedziniec do mocnych, przez wartę strzeżonych okratowanych drzwi, z trudnością na zawiasach się poruszających, przez które wchodziło się na obszerny, właściwy dziedziniec więzienny.

Sześć silnie zbudowanych wież rozmaitej wysokości, połączonych murem ze sobą, otaczało ten dziedziniec, sto stóp długości a sześćdziesiąt stóp szerokości mający; drzwi prowadziły do cel dla więźniów przeznaczonych.

Skoro tylko woźny z aresztowanym stanął przed celą, otwierały się podwójne skrzydła z twardego grubego drzewa, i w tej samej chwili za więźniem się zamykały...

Komendant miał jeszcze obowiązek wciągnąć nazwisko aresztowanego do rejestrów więziennych, i na tem kończyła się cała czynność przyjęcia nowej ofiary w poczet więźniów Bastylji.

Kiedy więzień następnego dnia rano otworzył ciężkim snem sklejone powieki i przywołał na pamięć zajścia ostatniej nocy, rozpatrzywszy się ujrzał, że się znajduje w dość obszernym ośmiokątnym pokoiku, mającym dwadzieścia stóp wysokości.

Światło wpadało doń przez silnie zakratowane okno; całe urządzenie składało się z łóżka osłoniętego białemi firankami, z dwóch stolików, kilku krzeseł, kilku dzbanków, lichtarza, łyżki, widelca i cynowego kubka.

W pierwszych jedenastu dniach pozostawiano więźniów samym sobie, tak, że pozbawieni byli wszelkiego widoku prócz dozorców, którzy im obiad przynosili; niektórzy z pozamykanych otrzymywali ku wielkiemu ich zdziwieniu wybornie, smakowicie, przyrządzone obiady.

Po upływie pierwszego miesiąca aresztu kończyło się zwykle śledztwo, prowadzone przez szefa policji w Bastylji, poczem rozporządzenie królewskie orzekało dokładniej o losie więźnia.

W bardzo rzadkich wypadkach puszczano go na wolność; natomiast stawiano go przed sąd parlamentu lub przed nadzwyczajną komisję śledczą, ale najczęściej zapadała decyzja, żeby go jeszcze trzymano, aż do dalszego rozporządzenia.

W takim wypadku nadaremnie starałby się dowiedzieć, jak długo potrwa jego uwięzienie...

Do wybitnych osobistości, do synów rodzin znakomitych, których chciano poduczyć karności, do wojskowych, którzy przeciw rygorowi wykroczyli, był regulamin Bastylji bardzo łagodnie stosowany; wolno im było przechadzać się po pierwszym dziedzińcu, na którym mogli grywać w bilard, obręcze, kręgle, a nawet w karty.

Przytem dawano tym „wybranym“ pozwolenie przyjmowania odwiedzin krewnych i przyjaciół, a osoby bardzo znakomitego pochodzenia zapraszał czasami pan gubernator do swego stołu.

Wielu więźniów miało ze sobą towarzyszy podzielających z nimi los niewesoły; i tak u jednych przebywały psy lub koty, u innych ptaki, króliki, a nawet myszy.

Z wnętrza Bastylji o tyle można było komunikować się na zewnątrz, że wielu więźniom pozwalano przechadzać się po platformie wież o pewnych godzinach.

Przy tej sposobności nieszczęśliwi porozumiewali się znakami ze swoimi krewnymi lub znajomymi, którzy regularnie stawali przed więzieniem; taka mimiczna rozmowa odbywała się tem swobodniej, ponieważ nie było w tych miejscach żadnego nadzoru straży.

Za pomocą tych znaków informowano się wzajemnie, jaki skutek odniosły kroki poczynione w celu uwolnienia więźniów lub też jaki obrót śledztwo przybrało.

Takiego, który miał wpływowych przyjaciół i zwolenników, prędzej czy później wypuszczano na wolność, ponieważ rząd unikał starannie wypadków śmierci znanych osobistości w więzieniu; ci zaś, których zamknięto dla przytłumienia uwagi publicznej, którąby mógł wywołać proces i wyrok sądowy, pozostawali po większej części w więzieniu do końca życia.

Najjaskrawszy wypadek tego rodzaju dotknął pewnego fałszerza monet, o którym rzeczą jest dowiedzioną, że jęczał lat 54 i pół w więzieniu Bastylji.

Najsmutniejszy jednak los czekał tych więźniów stanu, których oddano w ręce gubernatora z rozkazem: „nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć, co się stało z tym człowiekiem!“

Więźniowie tej kategorji byli raz na zawsze pozbawieni wszelkiej a wszelkiej komunikacji z ludźmi i ze światem, a po śmierci grzebano ich w nocy na odległym cmentarzu paryskim pod fałszywem nazwiskiem...

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 48. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.